

Wies

TYGODNIK SPOŁECZNO-LITERACKI

Rok III

Łódź, 1 grudnia 1946 r.

Nr 47 (75)

Anna Kamińska

MYŚLI O KULTURZE LUDOWEJ

Koleżankom i kolegom z Centralnej Szkoły Politycznej Stronnictwa Ludowego.

Przyjechał, jak to mówią, z terenu chłop sumiasty, z oczyma jak niezapominajki nad zalazanym strumieniem, ogorzały. Buty schodził na polskim błocie, kurtę zdjął z kuchennego kołka pachnącą parnikiem kartoflanym, gnojem końskim i wiatrem. Oto podmiot kultury ludowej, o której się mówi, że jest, że taka. Lecz skoro zaczyna gadać okazuje się, że nie taki to kmiotek, dla jakiego szlachetni inteligenci w 1865 roku szukali osobnego języka perswazji — aby nie pił za dużo gorzałki, pozwolił dziecku pójść do szkółki parafialnej i nie boczył się na bat ekonomski, bo to przecież zwykłe narzędzie do konnej jazdy nie mające związku z plecami chłopskimi. Nie żaden to różow „km'ó tek”, a czytelnik Dziennika Ludowego i Zielonego Sztandaru, członek Gminnej Rady Narodowej, o jakiej marzył ks. Piotr Ściegienny jako o „duży państwo”, człowiek zatroskany o byt i charakter swojej gminy, ubolewający nad szaleństwem grasujących band i gnusną opieszałością spokojnych obywateli.

Już ten chłop-obywatel i gospodarz gminny przestaje wydawać się podmiotem tej kultury ludowej, o której się mówi to i owo, której poświęcano kiedyś pismo etnograficzne „Wisła” pełne gadek, wierszyków, obrzędów, świątków i kogucików.

Pewno, nie zagada się tego chłopca żadną sprawą ściśle teoretyczną, a może i Mickiewiczza zna tylko ze słyszenia, bo jednak jeszcze „nie zblądziły pod strzechy”...

Ale czy ten brak, to puste miejsce na znaki i treści narodowej kultury może się nazwać inną kulturą, kulturą ludową?

Niewątpliwie uczeni etnografowie z „Wisły” mieli swoje pojęcie kultury ludowej wyraźnie określone, a ich metody poznawania tej kultury nie różniły się niczym od metod stosowanych wobec kultury dzikich — metod opisu zjawisk skończonych, wyznaczania stadium rozwoju poniżej punktu zerowego kultury ogólnej, przeciętnej, szkolnej.

To ich podejście do kultury ludowej wskazuje, że nie traktowali jej po pierwsze jako kulturę tylko inną, po drugie, że nie przypuszczali dalszego swobodnego rozwoju jej form. Była to kultura zabytek, jeszcze tu i ówdzie żywa, bo żyli nią ludzie, ale w treści naiwna, ładna, bo odpowiadająca jakimś prostym gestom kulturalnym i dziwaczna, bo wyrosła na nieuctwie i jego trwogach, interesująca jako ślad i skamielina wpływów cywilizacyjnych wyższych i cudzoziemskich grup.

I jeśli dziś chcielibyśmy wzmówić w naszego rozmówcę — członka Gminnej Rady Narodowej — jakąś kulturę ludową, jego kulturę, popelnilibyśmy nietakt przypominając mu w ten sposób, że nie rozumie znaków algebry i dzieł Mickiewiczza, lub że w postępowaniu kieruje się własnym, parafialnym sumieniem niezupełnie takim, jak sumienie inteligentkie. Formy jego życia i całodziennie chodzenie za plugiem pod obłokami, nadwyrężanie stawu barkowego przy jesiennej muzyce cepów, żart przy kieliszku, wieczorny ojczenasz, praca warg i palca przy czytaniu artykułu politycznego — to nie jest kultura ludowa. To jest tylko sytuacja kulturalna ludu, niestety nie przodującego w wytwarzaniu kultury, a ciągle zacofanego w przyjmowaniu jej form na własność.

W dużej, przeważnie z młodzieży złożo-

nej grupie szkolnej nikt nie był pewien tej kultury ludowej. Jest — skoro o niej się mówi, ale nas jakby nie dotyczy. Chodzimy po ulicach Warszawy oglądając po raz pierwszy wielkie zburzone i odbudowujące się miasto — ciekawi jego życia, bośmy go nie znali. Słuchamy wykładów na wiele tematów nie zawsze związanych bezpośrednio z życiem chłopca — uważni, bo można się dowiedzieć czegoś, co się przyda. Lecz ani wielkie miasto, ani treść umysłowa rozumniejszych nie wydają się nam ciałem obcym, wrogim naszej wrażliwości i naszemu rozsądkowi.

I wy, kolego, coście „na wyćwikę” przyjechali z Podhala, nie lubiliście się popisywać swoją gwarą, bo książki, które was zajęły, są pisane innym językiem. I wy, kolego spod fabrycznej Łodzi, z powiatu, który wydał najwybitniejszych ludowców — zgadzacie się wreszcie, że cywilizacji nie można przeciwstawić w sensie oceny lasu pełne śpiewu ptaków. I ty, koleżanko, coś na scenie tak zgrabnie po wiejsku utarła nosa wielką chustką wyjętą spod zapaski — śmiałaś się sama z tego tak trafnie zaobserwowanego gestu i ze swego przebrania.

Nie ma kultury ludowej. Wszystkie te cechy, które odróżniają grupę wiejską od

podobnej grupy robotniczej czy inteligentkiej — są uwarunkowane przez stopień rozwoju umysłowego. Czy można mówić ogólnie o różnicach charakteru, typu uczuciowego — gdy w obrębie samych grup różnice indywidualne są tak znaczne? Zresztą jest to zagadnienie dla psychologii, a nie zjawisko kulturalne.

Uprzemysłowanie kraju, unowocześnienie środków produkcji i jej organizacji, wzrost oświaty powszechnej odbierze wsi resztki odrębności jej form życia. Kto dziś rozprawia o kulturze ludowej jako wytworze i własności ludu — ten odmawia ludowi prawa do książki, łazienki, wolnego czasu. W jego interesie leży zachowanie wsi na tym stopniu kultury, w jakim znajduje się obecnie.

„Kultura ludowa istnieje i istnieć będzie dopóty, dopóki nie będzie się siało na bruk i zbierało na asfalcie” — oto zdanie jednego z najbliższych wykładów. Przeciwnie stawia się tu wieś miastu. Kontakt ze „świętą ziemią” ma być źródłem kultury ludowej. Zależność rolnika od przyrody zmniejsza się jednak w miarę postępu technicznego, a kłeski przyrodnicze są dla jasnego umysłu o wiele prostsze do wytłumaczenia niż kłeski i kryzysy ekonomiczne, od których bezpośrednio zależy byt ro-

botnika w mieście. Skomplikowany mechanizm życia ekonomicznego, w którym człowiek czuje się drobną sprężynką nie mniej dawałby powodów do demonicznych objaśnień, mistycznego zagubienia, jak deszcz, piorun i posucha — zwłaszcza dla ludzi obznajmionych z fizyką.

Są jednak względy, dla których termin „kultura ludowa” może być zachowany obok ściślejszego określenia „kultura wsi”. I choć brzmi to paradoksalnie — są to względy tkwiące w przyszłości.

Myśli o prawdziwej kulturze ludowej są realne tylko wobec postaci takich chłopów — twórczych intelektualistów, jak ci, których poznaliśmy w szkole. Teoretyk ekonomista zajmujący się sprawami gospodarki wiejskiej, inżynier-budowniczy snujący plany racjonalnej zabudowy i odbudowy wsi, doktor medycyny planujący nową organizację służby zdrowia na wsi, działacz prowadzący ruch ludowy do szerokiego udziału w rządach — ci są twórcami kultury ludowej na miarę państwa, a nie regionalną.

Nie chcemy protekcyjnego przyznawania nam osobnej kultury ludowej. Powinno nas stać na wielką twórczość kulturalną zbudowaną na pierwszej, twórczej placówce kultury — na wiejskiej szkole.

Marian Kubicki

ZASPIEW JUTRA

— Wspominając „krtzesnego” I. Solarza

Deszcz na tygodnie się zaniósł,
rdza przeżerała jałową ziemię.
Zwiędłe wrzośy szaruga przybiła
jesienną emą.
Jedlina gałęzi ku ziemi,
opatułiła kopezyk, w którym
22-letni kapitan z B. Ch.
Józef Podgórski
radość przetracił, młodość zakopał.

A wiatr śpiewną fugą,
przewiał przez Bugaj,
aż nacichł
w przydrożnych wierzbach
w drobny strumyk, w płacz wiklinowych pretów:
„którędy pojedzie, pojedzie” —

— uwroćiami ogrodów, kapuścisk
w zadymione międzypolecie,
przez tłukący dym
O — wychynał len siwy, przejrzał
w oczach Rózi soltysowej
związanej truchełkiem
7 kilometrów do szkoły.

Rankiem — rano
po rosie
gwiazdy marły bledniejąc
w listkach klonu.
Rankiem, rano —
ziemia paruje chemią,
nabiera tehu,
— łagodnieje, —
gdy skibowce odwalają głębię
jak głon chleba.
A Rózia po nocach śni o inżynierii...

Nie napróżno
zakonał się swa młodość
Józefie Podgórski.
Nie na darmo
haberdzie grabiny wyssały urodę chłopięcą życia,

...tu ległeś nie na tarczy
pośród miedzy rodzinnej strony
w kieleckim marglu, w jałowym przypiasku
by mój ojciec orał trzy hektarową nową ojezysnę.
Oziminy jak bór zielenia,
pszenica, chłopskim krwawnikiem
wplenila się w pański ugor.
Okolicą chłopci przedumują o elektryce.
A w Szczekockim liceum, w hrabskim dworze, Rózia
logarytmami przemierzyła z chałupy w świat
okraj robaczywej, zgrzebnej doli.
I w Słupi gontami bieleje Samopomoc.
Traktor ciągnący chude — dziś wsi
metalicznie zagrał oszalały, zaśpiew jutra.
Drogi ubyło wiele, całe stajania.

Chmury chmurami zaszyły
zbliżając zmierzch —
sietniak na strunach badyłł
wyszarpał gorzkie żale.
Na horyzoncie czarna noc przykuła
i straszy w pustych polach
głód i zimno —

Centrum wsi
ul —
zamknij oczy...
światlica —
...tu codziennie transfuzje krwi
budzą ze śpiączki chałupy i chłopów z baranie
i młodzi gryzą niecierpliwie różaniec
oblicza dnia:
Encykliki i Marksa.

Tu sercem, rozumem
wyrasta razowy, ościsty
chleb braterstwa.

Stąd jutro
wiosną!
Stąd, w głąb innych wsi w kraj —
drogą bitą wyproszą się zębate, żółte, chłopskie plecy

Emil Piórecki

WIEŚ I POCZTA

W ostatnich numerach „Wsi” ukazały się dwa ciekawe artykuły (J. A. Króla i W. Blachuta) na temat stosunków pocztowych na wsi. Oba należy zaliczyć do tych prac, które mówią nam naprawdę o wsi, o naszej polskiej wsi na takim czy innym odcińku jej życia, bez owej tak często spotykanej a popularnej łatwizny, o krok sąsiadującej zazwyczaj z sensacją i demagogią.

Zamiarem moim jest wypowiedzieć kilka dalszych uwag, aby uzyskać możliwie pełny obraz wzajemnego stosunku, jaki zachodzi pomiędzy wsią i pocztą. Bo słowa — wieś i poczta — to jest rzecz więcej niż ważna, to jest problem o skali ogólnopolskiej.

Wieś — a to stale i z naciskiem podkreślać należy — to nie nieliczna klasa czy warstwa ludzi, to nie 5 czy 10 proc. ogółu — wieś to ponad 60 proc. obywateli całego kraju, to większość, to kręgosłup, na którym jedynie w sposób trwały wspiera się może ta wielka organizacja, której na imię: państwo. To należy sobie głęboko uświadomić.

Każde zagadnienie życia zbiorowego łączy się i to nierozdzielnie z całokształtem stosunków społecznych i państwowych i tylko w ich ramach może być naprawdę obiektywnie rozważane i rozstrzygane. Dlatego też interesujący nas problem musimy rozbić na dwie części: na 1) na stosunek wsi do poczty i 2) poczty do wsi. — Tylko w ten sposób unikniemy jednostronnych sądów, które z reguły są zaprzeczeniem poczucia rzeczywistości życiowej, będącego najlepszym drogowskazem dla wszelkich czynów i myśli ludzkich.

POCZTA — TO CHŁOPSKI „DOSTĘP DO MORZA”

Poczta jest dla wsi jednym z poważnych czynników natury społecznej, gospodarczej i kulturalnej. Czym dla państwa jest dostęp do morza, tym dla wsi jest poczta, to prawdziwe okno na świat, które dla niej — jak mówią — „zapadł” wsi czy przysiółka jest łańcuchem, łączącym je z centrami cywilizacji, handlu i ekonomicznego postępu, co dla żadnej wsi nie może być rzeczą obojętną. Dlatego też ludność wiejska nie może traktować poczty jedynie jako instytucji, przez którą otrzymuje list od syna w wojsku, córki w mieście czy ostatek numer gazety. Chłop musi wykazywać duże zainteresowanie dla placówki pocztowej, a o ile jej nie ma w pobliżu — to usilnie starać się przez swych przedstawicieli o jej założenie. Chłop powinien zrozumieć, że poczta — to jedna z dźwigni postępu na wsi, że wieś naprawdę cywilizowana, nowoczesna — jest nie do pomysłienia bez należytego funkcjonowania aparatu poczty. A aparat ten dobrze będzie funkcjonował tylko wtedy, gdy znikną wielkie odległości (niezależnie do 10 km), dzielące wieś od najbliższego urzędu czy agencji pocztowej.

Jak o wszystko na świecie — tak i o pocztę dla wsi trzeba walczyć, starać się, zabiegać, nie zrażając się największymi nawet przeszkodami, jakie na drodze naszych usiłowań spotkać możemy. — A trudności z całą pewnością zachodzą tu będą, ponieważ Państwo po przebyciu a wielkim kataklizmie dziejowym — nie jest w stanie natychmiast usunąć te liczne braki i niedomagania nagromadzone latami a pogłębiłone i rozszerzone niepomierne okrem wojny w najróżnorodniejszych dziedzinach życia społecznego, a więc i tym samym w zakresie wiejskiego ruchu pocztowego. Nie można żądać od Państwa więcej, niż ono w danej chwili dać może. Jest to rzecz nie tylko uspołecznienia ale i zdrowego rozsądku. Cóż więc należy robić? Jak ma być stanowisko wsi, aby wpłynęło ono na polepszenie jej stosunków pocztowych?

WIEŚ BUDUJE SAMĄ SWOJĄ POCZTĘ

Sprawę tę — co prawda — ogólnie ale jednak jasno i wyraźnie ujmując dobry znawca stosunków wiejskich W. Blachut w swym artykule „Jeszcze o wiejskiej poczcie” („Wieś” Nr. 43); powołując się na J. A. Króla pisze: „mieszkańcy wsi muszą jednak w tym martwym okresie przejściowym (tzn. w obecnym, przyp. mój) przyjąć Poczcie z pomocą. Pomoc ta powinna polegać przede wszystkim na dostarczaniu na cele poczty na wsi odpowiednich i tanich lokali biurowych oraz mieszkań dla agentów pocztowych a także na otoczeniu rzeczonych na wieś pracowników pocztowych z miasta opieką w znaczeniu materialnym”. Pogląd ten nie wydaje się praktycznie trudnym do wykonania, jeżeli oprzemy go na dobrej woli, wzajemnym porozumieniu i obojmy interesie obu stron tzn. chłopów i poczty.

I jeszcze mała uwaga. Mieszkańcy wsi muszą przyzwyczać się do tego, że różne, wymagane na poczcie formalności nie są wymysłem czy kaprysem pocztowego pracownika, ale wynikiem obowiązujących przepisów, które w pierwszym rzędzie biorą pod uwagę interes samego klienta. Taką formalnością jest np. należyte opakowanie paczki, czytelne wypełnienie przekazu czy innego druku, poświadczenie tożsamości osoby przez wójta itp. Wszystko to ma na celu nie dobro poczty, ale dobro klienta, nadawcy względnie odbiorcy przesyłki. O pracowniku pocztowym będzie osobno mowa. Nie wolno nam jednak zapominać, że stawiając temu pracownikowi te czy inne żądania — musimy również określić obowiązki chłopów, jako odbiorcy usług pocztowych. Czynność pracownika pocztowego w ramach obsługi interesantów — nie jest czynnością jednostronną ale dwustronną tzn. jest współpracą między nim a klientem. I jeden i drugi obowiązani są do tego, aby ta współpraca była najlepsza i najbardziej scharmonizowana. Realizowanie tej zasady — to poważny krok naprzód w dziedzinie ewolucji dzisiejszych wiejskich stosunków pocztowych w ogólności. Ustosunkowanie się chłopów do poczty winno być żywe i czynne a nie bierne i wyczekujące.

STOSUNEK POCZTY DO WSI

Poczta jest państwowym przedsiębiorstwem pod nazwą „Polska Poczta, Telegraf i Telefon”. Jako przedsiębiorstwo ma ona za swoje główne zadanie dostarczać Państwu możliwie jak największych dochodów. Jest rzeczą zrozumiałą, że wielkość tych zysków, jakie poczta daje, a raczej znacznie dopiero dawać — nie może być obojętna dla wsi. W obecnym ustroju i po uwzględnieniu wydatków ogólnopolskich — proporcjonalna część tych wszystkich a więc i pocztowych dochodów w tej czy innej formie, pośrednio lub bezpośrednio winna przypaść wsi. A więc dochód pocztowy jest również w pewnym sensie dochodem wsi. Ale poczta jako przedsiębiorstwo państwowe nie opiera się tylko i wyłącznie na samym pojęciu zysku. Obok niego wchodzi tu w grę drugi równorzędny czynnik: interes społeczny. Można nie raz słyszeć taką krytykę: gdyby pocztę oddano w dzierżawę prywatną — to dochodowość jej wzrastalaby. Całkiem słusznie, bo dla przedsiębiorcy prywatnego poza zyskiem nie istnieje wcale albo w najlepszym razie w bardzo znikomym skali pojęcie interesu czy dobra ogólnego, społecznego. Poczta jednak jako instytucja użyteczności powszechnej i społecznej tak postępować nie może. Zarząd Pocztowy mógłby z miejsca i wielokrotnie zwiększyć swą dochodowość, gdyby właśnie nie włączył na ten poważnie traktowany interes społeczny, który nakazuje mu utrzymywać cały szereg nierentownych placówek. Nie trzeba dodawać, że do tego rodzaju placówek w największej liczbie należą urzędy a zwłaszcza agencje pocztowe, rozlokowane po małych miasteczkach i wsiach. A więc interes wsi jest tu uwzględniony i to — jak na obecne wyjątkowo trudne stosunki — w bardzo poważnym miarze. Mimo to w imię sprawiedliwości stwierdzić należy, że dla stosunków wiejskich dotychczasowa sieć pocztowa — telekomunikacyjna nie jest wystarczająca, a w niektórych wypadkach nie zaspakaja nawet dzisiejszych, jeszcze prymitywnych potrzeb wsi tak kulturalnych jak i gospodarczych.

Taki stan rzeczy musi i to w krótkim czasie ulec radykalnej przemianie, którą należy pojmować — jako pozorne może niewidoczna i jakby ukryta ale faktycznie jako konieczną i zasadniczą reformę społeczną. Zapoczątkowana jeszcze przed wojną, a obecnie nieco rozszerzona działalność tzw. listonoszów wiejskich, odgrywających niejako rolę poczt ruchomych — powinna — przez zwiększenie ich liczby — swój zasięg jeszcze gruntownie poszerzyć, gdyż tylko w ten sposób będzie można bardziej odpowiednio i celowo zaspakajać a zarazem propagować potrzeby pocztowe ludności wiejskiej.

Nie tylko w imię tego wielkiego zysku społecznego, jakim ponad wszelką wątpliwość jest podciąganie wzwyż chłopów — ale także i z punktu widzenia czysto komercyjnego należałoby ludność wiejską uważać za bardzo ważny, mimo że dotąd za niedbany odłam klienteli pocztowej, która w małym stopniu korzysta z zaoferowanych jej usług pocztowych nie tyle z powodu niewyrobienia społecznego czy innych przyczyn, ile z powodu niezależnych od niej przeszkód, z których najważniejszymi są: wspomniane już wyżej zbytne oddalenie od wsi placówki pocztowej, brak odpowiedniej, pomyślanej w duchu wiejskiej

skim uświadamiającej propagandy pocztowej, brak umiejętności kontaktowania się z chłopem (o tym niżej), potem niedogodne godziny urzędowania etc.

TECHNICZNE UDOSKONALENIE POCZTY WIEJSKIEJ

Byłoby jednak krótkowzrocznością obawiać się wydatków, związanych z reformą stosunków pocztowych na wsi. Naturalną jest rzeczą, że analiza ogólnych wpływów i rozchodów stanowi dla Zarządu Pocztowego pewne granice, poza które on wyjść nie może. Ni mniej jednak zaznaczyć trzeba wyraźnie, że lęk przed stratami nie ma tu żadnego, poważnego uzasadnienia, chyba że myśleć będziemy kategoriami kapitalistycznymi, podstawą których nie jest nigdy żywy człowiek ale jedynie zysk i to możliwie natychmiastowy, bez względu na fatalne nieraz tego następstwa dla szerokiego ogółu. Kto nieco orientuje się w stosunkach, wytwarzanych przez kapitalistyczną produkcję, ten rozumie, że chodzi tu o rozmach i prędkość w tym zasadniczo jednakowym procesie — pieniądź — towar — (usługa) pieniądź. Pieniądź a raczej inwestycje włożone w urządzenie pocztowe na wsi — wobec wzmoczonego tempa obecnego życia — prędko zamortyzują się i zaczęta dawać dochód, który wedle wszelkiego prawdopodobieństwa będzie stał się silnie wzrastać. W ten sposób — o ile chodzi o wiejskie stosunki pocztowe — interes społeczny, pojęty na dalszą nieco metę — zamienia się i to w krótkim czasie na konkretny, cyfrowo określony zysk pieniężny. Każdy wkład tu włożony — materialny i duchowy można porównać do ziarna, które rzucone w ziemię — po pewnym czasie plon wyjada. O tym musi pamiętać i wieś i poczta. Interes wsi jest interesem poczty i odwrotnie.

PRACOWNIK POCZTY NA WSI

Teraz o agentach, tzw. kierownikach tych małych 1 — 2 osobowych placówek pocztowych, z którymi chłop najczęściej się styka. Taki agent tak podług litery prawa jak i ustalonej tradycji — to dziwny twór bez wyraźnej przynależności, ni to pełny pracownik umysłowy ni fizyczny, coś pośredniego między jednym a drugim, choć spełniając przez niego funkcje nie różni się niczym (chyba, że jest ich więcej) od czynności kierownika mniejszego urzędu pocztowego, który nosi tytuł naczelnika. Nie idzie tu bynajmniej o zmianę samej nazwy „agent” lub „agencja” na taki lub inny tytuł. Tu trzeba zmienić to „na-stawienie” do agenta, które jeszcze trwa jako pozostałość przeszłości. Z prawdziwą satysfakcją zaznaczyć trzeba, że sprawa ta w nowych powojennych warunkach społecznych nie została pominięta i jest na drodze wyraźnej poprawy, co nie będzie również bez wpływu na pomyślny rozwój poczty wiejskiej. Dalsza sprawa — to kwestia uposażenia takiego agenta. Pełne rozwiązanie tego trudnego problemu powinno doprowadzić do tego, aby agent godnie zajął ten posterunek i mając być zabezpieczony mógł wypełniać doniosłe zadania, jakie stawiają mu Zarząd Pocztowy i obywatel wiejski.

Dalszy postulat — to zewnętrzny i wewnętrzny wygląd lokalu pocztowego na wsi, który pozostawia bardzo dużo do życzenia.

Lichy wygląd niejednej agencji w „zabitej deskami” miejscowości i nadmierne nieraz elegancja niejednego urzędu pocztowego w dużym mieście — to przepaść, którą by można porównać ze średniowiecznym stosunkiem chłopów do pana.

Tę rozpiętość należy zmniejszać równaniem w górę. Z kolei przejdź do rzeczy może najważniejszej, do stosunku pracownika pocztowego do chłopów jako klienta w ogólności, a więc tak na terenie wsi jak i miasta. Ze sprawa ta jest rzetelną troską Zarządu Pocztowego — tego między innymi dowodzi zamieszczenie w wydawanym przez Min. P. i T. „Przeglądzie Pocztowym” artykułu p. t. „Stosunek pracownika do interesanta” (kwiecień br.) Najbardziej nas teraz interesujący wyjątek tego artykułu brzmi:

„Podkreślić trzeba nienależyte a nawet antyspołeczne traktowanie niektórych grup klientów, odznaczających się pewną niezaradnością w załatwianiu zwykłych formalności. Chodzi tu o sfery włościańskie i robotnicze. Obrazowo przedstawia się to tak: dla chłopów czy zwykłego robotnika, nawykłego do ciężkiej pracy fizycznej nalepienie choćby znaczka pocztowego sprawia pewną trudność i wykonywane bywa może niezręcznie, albo: wiejska kobieta wyjmując z zawiniątka pomału i ostrożnie list i podaje go urzędnikowi mówiąc

np. „Czy aby dojdzie, bo to do wojska — proszę pana, bo już ze 3 miesiące jak...” itp. W takich sytuacjach słyszeć można często takie mniej więcej odpowiedzi urzędnika: „A nie boicie się, — przecież znaczek was nie ugryzie — wzięć na język i nalepić i po sprawie — nie taka wielka sztuka, — dajcie ten list — tak certujecie się z nim jak z niemowleciem... przecież ja wam listu nie ukradnę...”

Czy nie byłoby wskazaniem, aby w takich stosunkowo nielicznych zresztą wypadkach urzędnik sam znaczek wyjątkowo nalepił, a poruszoną wątpliwość „czy dojdzie” usunął poważnym oświadczeniem: „Proszę być zupełnie spokojnym, list dojdzie napewno, itp.”

Nie idzie tu już o uprzejmość, ale o prawdziwie ludzkie podejście i przyjęcie z pomocą w miejsce niesmacznych drwin i ironicznych uśmiechów.”

POCZTA WIEJSKA — WYKŁADNIKIEM NOWEGO STOSUNKU DO CHŁOPA

Daleki jestem od generalizowania opisanych przykładów, faktem jednak jest, że wypadki takie mają miejsce. O ile zachodzą one w wielkich miastach, to potem przechodzą i do małych, i do wsi, do agencji, bo przykład idzie zawsze z góry. Tu zresztą nie idzie o taki czy inny wypadek, ale o tę wielką przebudowę psychiczną w stosunku mieszczaństwa do chłopów, stosunku, który na terenie pocztowym najwyraźniej zarysowuje się i gdzie najprędzej może i powinien ulec zmianie na lepsze. Chcąc zobrazować całą tego doniosłość musimy na chwilę oddalić się od poruszanego tematu i postawić takie pytanie: jaka jest właściwie łączność chłopów z państwem? Dwie będą odpowiedzi na to pytanie.

Odpowiedź pierwsza: chłopów — jak każdego innego obywatela łączy z państwem jego prawa i obowiązki. Podłożem jednych i drugich jest odpowiadająca społeczeństwu ideologia, uwyppuklająca rolę i znaczenie państwa tak dla wszystkich warstw społecznych — jak i dla innych jeszcze wyższych, ogólnoludzkich celów. W każdym obywatelu tkwi głęboko i silnie osadzona potrzeba ideologicznego uzasadnienia różnych przejawów i zmian w życiu społecznym. Wyrazem tego jest prasa, życie polityczne etc.

Tak w pobieżnym ujęciu wygląda łączność obywatela z państwem, łączność w charakterze ogólnoprawnym, wspartym przez czynnik duchowy, wewnętrzny. Chłop w stopniu daleko wyższym, aniżeli by to pozornie wydawać się mogło — zdaje sobie z tego doskonale sprawę.

Druga odpowiedź. Ta, choć odnosi się zasadniczo do wszystkich członków społeczeństwa, mieć będzie jednak szczególne zastosowanie do chłopów. Rozumowanie nasze jest takie: do spełniania swych zadań Państwo powołuje pewną liczbę obywateli. Ta część obywateli, do których należą również pracownicy pocztowi, tworzy ów olbrzymi aparat, wielką machinę państwową, pozostającą w stałym kontakcie z resztą ludności. I dopiero ta codzienna styczność obywatela z pracownikami w służbie państwowej jest widocznym, namacalnym niejako przejawem tej łączności, tej faktycznej więzi obywatela z Państwem. I tylko w ramach takiej łączności mówić można o zrozumieniu i zaufaniu nie do Państwa jako czegoś nieuchwytnego, nie do Państwa — abstrakcji, ale do Państwa, jako konkretnej i realnej całości. Pomijając kwestię najlepszych nawet warunków materialnego bytowania, chłop silnie będzie się czuł związany z Państwem przez fachowe, solidne załatwianie jego spraw w instytucjach państwowych i należyte jego tam traktowanie, niż przez najwięcej choćby rzeczowe artykuły w prasie i uroczyste przemówienia z trybuny. Okienko pocztowe — to nie tylko miejsce samych czynności pocztowych, jak przedaż znaczków, nadawanie czy odbieranie przesyłek itp. — to okienko, zwłaszcza na wsi, to teren, na którym Państwo za pośrednictwem pracownika pocztowego — wchodzi w bezpośredni i osobisty kontakt z chłopem. Tu chłop powinien pogłębiać swoje wyrobienie obywatelskie i umacniać swoje przywiązanie do Państwa.

Jeżeli od okienka chłop odejdzie zadowolony — nabierze zaufania do poczty. A zaufanie — to pierwszy fundament wszelkich stosunków międzyludzkich.

Tak w najogólniejszym jedynie zarysie przedstawia się problem wiejskich stosunków pocztowych, problem, który dotąd tak dla wsi jak i dla Zarządu Pocztowego pozostaje otwartym.

ZARAZ za naszą chałupą są krzaki, a pod krzakami jest wąski pasek pola, na którym jest pełno wielkich kęp kamieni. Kto te kamienie tam zesypał, nie wiadomo. Chyba sam diabeł na kpiny z ludzkiego mózgu.

Pod taką kępą stoi niziutka chałupa, bardzo mizerna, bo nawet bez facyjatów. Chałupa naszego sąsiada „Kulawego”. Prawdziwie — to on się nazywa inaczej, ale po nazwisku nikt u nas się nie dopyta.

Kulawy — to nawet słuszne przewiśko, bo sąsiad mocno kula na jedną nogę. A gdy idzie, kiwa się na wszystkie strony, zaś fajka, którą stale trzyma w zębach, chodzi mu jak wahadło u zegara.

Jego baba, Wikta, też nie bardzo się udarzyła. Jest tak garbata, że plecy ma wyżej niż głowę. Ale nie dziwota. Kulawy, powiela dziecka nie podrosły i nie zaczęły pomagać w robocie, miał ją za dziewczkę, za parobka i czasem za babę. Ale rzadko.

Jako dziewczka musiała krowy obsługiwać, świniom mleć, dawać żarcie, a jako parobek musiała w polu wszystko robić, a jako baba musiała z Kulawym spać, chociaż stale narzekała, że śmierzdzi jak krowa zalaptana. Trzeba dodać, że strasznie go słuchała.

Razu jednego zachorował. Rozboliła go noga i nijak nie mógł chodzić. Zawołał z pościeli:

— Wikta, chodź tu!

Ona przyszła do niego i pyta się, czego mu trza. A on ze złością:

— Podej mi tę łaskę, co jest za piecem.

Wikta myślała, że będzie próbował chodzić i łaskę zaraz mu podała. A tymczasem on jak nie wrzasnie:

— Chodzisz jak guzo z jajem! Nijakiego ruchu w tobie. Ja cię tu muszę przegarować... No, coś tak stoisz? Rusz się przedy!

Gdy oddaliła się trochę od łóżka, cisnął za nią łaskę tak celnie, że dostała w garbacinę aż zadudniało.

Dzieciak mieli coś ze sześcioro. Ale bawić ich Wikta nigdy nie miała czasu. Musiała się bawić same.

Pola miał Kulawy całe cztery morgi. Ale jak Niemcy kazali zrobić spis u sołtysa, to gadał, że ma tylko jeden morg pola zasianego owsem, zagon ziemniaków — ale takich, że je porachować może. Zaś owies tyli, że małą żabę w nim ujrzy. Że niech tak piszą w papierach, jak mówi, bo to szczerza prawda.

Ale gdy miał syna żenić do sąsiedniej wsi, to się chwalił, że ma pole tylko pod pszenicę, prawie jak w równi, i nigdy by się nie zmienił nawet z Wojtkiem z Kurdzielówki, choć ten posiada całe dwadzieścia morgów. Bo coś znaczy te dwadzieścia morgów — kiej pod paciyp.

Najgorszym gospodarzem jednak nie był. Miał tylko te cztery morgi pola, i to jeszcze z krzakami i pastwiskiem, a potrafił wypaść dwie św. nie do roku. Zwykle Kurdziela pytał, żeby mu odwiózł te św. nie na jarmark. Za każdym razem zarzekał się, że więcej po takiego furmana nie pójdzie. Bo Kurdziel nigdy nie miał dobrego wozu, ani uprząży na konia. Wyjeżdżał — ale dopiero u Kulawego dorabiał nowy rozeń i basąg deską zatykał. Często po drodze przyszło mu licy zszywać, łańcuch sztućcować. Nic dziwnego, że na jarmark zajeżdżali koło południa. Kulawy ślakał i zarzekał się, że więcej po takiego furmana nie pójdzie. Ale gdy zaszła potrzeba, znów zmawiał Kurdziela, bo mu było najporęczniej.

Chleba u Kulawego mało piekali — tylko na wielkie święta. Kulawy gadał, że nie warto piec, bo chleb się je po próżnicy i bez żadnego pożytku. Lepiej to zboże zemleć grubi i dać świniom. Tak też robił. W zimie jadał tylko dwa razy dziennie, żeby więcej było dla świń.

Lubił też Kulawy chodzić po jarmarkach. Gdy miał kupić krowę albo świnię, musiał obejść najmniej osiem jarmarków, zanim kupił. A gdy wreszcie kupił, opowiadał, że mu się bardzo nie nadarzyła. Gdy zaś sprzedawał, nie mógł się nażalować, bo tak dobrej żywnizny w życiu nie miał.

Znał się również na krawiectwie. Od biedy uszył zgrzebne portki, bluzy ze starą derki, raz nawet stary płaszcz przeniocował. Ale najlepiej umiał leczyć krowy. Z Kulawego był chłop użyty i nie odmówił nikomu. O północy szedł, gdy go wolał do chorej żywnizny. Za to go ludzie ogromnie chwaliłi.

Marcin Zawada

DRABINA BEZ SZCZEBLA

(opowiadanie)

Oględziny doktorskie zaczynał od macania po rogach, potem po pysku, czy przypadkiem nie jest z'mny. W łajnach też pogrzebał łaską, aby stwierdzić, czy się w krowie nie zapiekło, albo czy nie ma flusu. Po takim badaniu kazywał nagotować lnu ze starym sadłem, żuru z kwaśną śmietaną — i to dawał krowie do picia. Która się znała na starym sadle, kwaśnej śmietanie i była mądra — taka piła z wielkim smakiem. Ale zdarzały się kosirne, które nijak nie chciały się przystawić do takiej medycyny.

Każdy człowiek ma jakąś wadę, której sam nie widzi. Nie inaczej było z Kulawym. Jak dobry — możnaby go na kalikę przyłożyć. Swęj babie mówił: Wiktuś — a dzieckom kazał plaćka upiec. Lecz co kawałek czasu przechodziła na niego jakaś „meniura”. Wtedy stawał się wściekły klej na czym świat stoi, dziecka bił pałką, a babę to tak szlachetnie nazywał, że strach.

Umiał jeszcze Kulawy robić rękawice — takie o jednym palcu. Jak przyszła zima, to na całe dni i wieczory fabrykował takie rękawice z babą i dziećkami. Czekał mrozu. Wtedy szedł na jarmark, spodziewając się, że prędzej ktoś rękawice kupi. Jeżeli sprzedawał dobrze, wracał zadowolony; ale jeżeli się mu nie podarowało i sprzedawał mało, a do tego tanio, ciężko było potem z nim w domu wytrzymać.

Było to w styczniu. Śnieg walił, wiatrem dęło, że światu nie przejrzał. Kulawy poszedł na jarmark, bo myślał, że będzie dobre sprzedanie. Tymczasem ludzi było mało i nie sprzedał — tylko jedną parę.

Przyszł do chałupy strasznie zmarznęty i bardzo zły. Od razu zabrał się do roboty rękawic, nie mówiąc do nikogo. Tylko na babę spozierał tak mi oczami, że aż po niej ciarki przechodziły. Bo jakże nie miał być zły, kiej nagle przypomniały się mu wszystkie niepowodzenia ostatnich tygodni.

A więc najpierw wełna, którą dziś kupił na jarmarku, okazała się całkiem zetałłą. Świnia, kupiona aż w Zakliczynie, nie chce żyć, wszystko w gnój wywala. Krowa bydlę się już od lipca i nie może zostać cielną. Nie, tego ścierpieć nie można.

I ogarnęła go straszna złość na cały świat, a najbardziej na swą babę, chociaż ona niczemu nie była winna. Grzmotnąwszy rękawicą za piecok a fajką pod ławę, zdjął łaskę z kolka, siadł sobie na nalepie

— i zaczął wymyślać babie niestworzone rzeczy.

— Ty stara krowo ino byś żarła i s.... bo nic ci się robić nie chce! Wszystko na mojej głowie. Ty jacy w chałupie siedzieć, na piecu leżeć jak to sadło...

— Ale Józek — nieśmiało odezwała się Wikta — przecie robę, wiele ino mogę. Ty chodzisz po jarmarkach, albo cosi syjes, a na mnie cały obrządek. Tyle roboty, że nigdy wyprościć się nie mogę.

— Stul pysk! Jesce mi bedzies cosi wymawiała? Ty? Ty dziadówko zatracono! Ty tu nimos nic, bo wszystko moje. Przyszłaś z gołą d..., słyszalaś! Z chałupy cię wyzjęną razem z dziećkami...

Tu dziecka zaczęły krzyczeć, co go jeszcze bardziej rozsierdziło. Wrzasnął na nie w cały głos:

— Cicho bydźcie, raki jedne! Wyprzetnąć was na kawalki!

Krzyżąc, wywijał łaską, co spowodowało niebywałą panikę wśród dzieci. Stasek, Marynka, pies, kot — wszystko na zbity łeb uciekało do sieni. Jednej Wikcie nie bardzo się to udało, bo gdy zmiarkował na co się zanosi, uderzył ją łaską z całej siły. Aż się przegięła. Wtedy Kulawy porwał za but, by jej poprawić — a bał się, żeby łaski nie przetrzącił. Wikta dostrzegła koszyk, chwyciła go rozpaczliwie, próbując się nim zasłonić. Kulawy nie chciał sobie psuć ręki po próżnicy, więc chciał koszyk wyrwać jej z ręki. Zaczęła się szarpanina, w czasie której Wikta puściła koszyk a Kulawy legnął jak długi. Baba uciekla do sieni i tam krzyknęła na dzieci:

— Uciekajmy na Łobidową, bo nas ojciec wyzabija!

Skoczyła jeszcze do izdebki, porwała ze skrzyni chustkę — co jej chłop kupił zaraz po ślubie — owinęła się nią — i w pole. Ale Kulawy już się pozbiierał, dopadł babę i zdarł z niej chustkę.

— Twoja, żebyś ją brała? Wolę ją zrabować...

Skoczył do chałupy, chustkę cisnął za piec i pomyślał sobie: — Przeciem nie taki głupi, żeby chustkę rabać. Ile to czasu musiałem na nią składać pieniądze... A przez okno krzyknął:

— Idźcie w diabły i niek was moje oczy już nie widzą!

Potem zaczął łobuchem w pniak walić, jakby istotnie chustkę rabał.

U krewniaków na Łobidowej było wielkie zdziwienie, gdy zobaczyli Wikte z

dzieckami pod sam wieczór i w taki podły czas. Myśleli, że albo się chałupa pali, albo Kulawy umarł. Pytają się więc wszystkie razem, co się stało.

— Ady mój Józek zgwarzyjował, chustkę zrabował a mnie z dziećkami wygnol.

I prosz o przenocowanie, zaś jutro wybierze się do Świnika, do Jaska, najstarszego syna, co tam był żeniaty. Ale tutaj wszyscy znają Kulawego, który nieraz takie breweryje wyprawiał, potem się udobruchał i było dobrze. Więc pocieszają wszyscy Wikte, jak mogą. Nie było to zbyt trudne zadanie, bo z Wikty kobeci-na wesola, wnet przestała szlochać — i nawet przemysłiwac zaczęła, czy by rano nie wrócić do swej chałupy. Bo co tam się dzieje z żywnizną?

Tymczasem Kulawy sapał ciężko, powoli wracając do siebie. Przy tym gadał pod nosem: — Ja se ta radę dam bez was! Krowy napasę, świni i sobie umię...

I wziął się do roboty.

Świnie jakoś oporządził, ale nijak nie mógł sam krowom polywanki zaciągnąć. Cebrzyk był wielki, dwoje ludzi miało co dźwigać. Jeszcze gorzej było z dojeniem. Mleko ciurkało do zanadza, w rękaw i po portkach — tylko nie do skopca. Więc zaczął ciągnąć mocniej, żeby mleko trafiło tam, gdzie trzeba. Temu znów sprzeciwiła się krowa i kopła Kulawego tak silnie, że ten się wywrócił, mleko wylał, a sam się gnój wymarmarował. Wtedy skopcem tak wyrzwał łąciata, że naczynie rozleciało się w kawalki.

Wrócił ze stajni zły i zupełnie wyczerpany. Usiadł sobie na nalepie — i już mu się całkiem odechciało wczemrzy i wszystkiego. Wkrótce sen go zmorzył. I śniło się mu, że baba wróciła po resztę swych łachów, aby uciec na dobre. Zabrała też pieniądze, które miał schowane głęboko w pukrzyku. Więc skoczył, by odebrać te pieniądze — lecz było już za późno, bo... wpadł do cebrzyka z pomyjami. Wtedy się opamiętał. Musiał się teraz suszyć — a dopiero potem legnął se na pościeli.

Budzi się rano — a krowy ryczą, świni kwiczy, pies wylizuje śpizoki. — Trza się brać do roboty — myśli sobie. Ponieważ nie wczemrzył, więc postanowił ugotować sobie pełny śpizok kaszy. Pszenicy było trochę w miareczce — zmleł, ale tej mąki wydało się mu trochę mało, więc poszedł na strych do sąsiaka po więcej zboża. A kiedy miał wstępować na szczebel drabiny, spojrzął z góry i zobaczył, że pies już kończy jego mąkę, co miała być na kaszę. Wczoraj nie wczemrzył, więc mu teraz nawet mąka smakowała.

Kulawy widząc, że pies na krzyk nie ucieka od mąki, zaczął szybko zlazić — i pewnie minął jakś szczebel, bo gruchnął na żarna, pod drabiną stojące. Myślał, że się zabił, ale jakoś się pozbiierał, choć w głowie mu szumiało, tak sobie wałnął łbem o kamienie. Pozbiierał się wreszcie — i nie myśląc już o gotowaniu, powlókł się na wyрко. Złość go opuściła zupełnie, tylko wielki żal pozostał, żal okrutny, że cały świat jest przeciwko niemu.

Do baby złości już nie czuł, tylko żalność, że uciekla a nie wraca. Teraz ci ośby chciał, nie mógłby jej szukać, tak się potłukł. A tymczasem w stajni porykwanie coraz większe.

Na takich rozmyślaniach zastał go Stoklos z Łobidowej, którego wysłała Wikta, aby się przewidział, czy jej chłop już się udobruchał i co teraz mówi. Kulawy bardzo się ucieszył, dowiedziawszy się o babie. Nawet zdobył się na to, że prosił Stoklosa, aby jej rozgadał i żeby tego wczorajszego wygnania nie brała zbyt do głowy. A najlepiej — żeby zaraz wróciła.

— Toć prawda, żem ją poklął, alem przecie nie wyganiol z chałupy. Tyłem się, wicie, utropił bez dzień, że nie wiedziołem, co mi się godało.

Wikta bez ociągania przyszła zaraz z dziećkami. Jakby nigdy nie zabrała się zaraz do mielenia, potem krowy napasła, podoiła, ugotowała dobrej kaszy, chłopca wysmarowała spirytusem, gdzie był potluczony — i już było dobrze. Ucieszyła się strasznie, gdy zobaczyła na piecu chustkę całą i bez śladu jakiegoś rabania. Pomyślała sobie, że chłop nie taki zły, kiej się go śnasy trzymają.

Od tego czasu, choć Kulawy nieraz babę poklął i dziecka pasem przetrzepał, ale nigdy już nikogo z chałupy nie wyganiał.

Jan Bolesław Ośóg

ELEGIA RUSKA

Janowi, synowi Wacława Ciska, zamordowanemu przez banderowców.

Ta noc, ta noc, ten koń czerwony,
przez szybę kiedy od sitowiu
siekiara błyska łbem na nowiu,
ta noc, rozdarła krzykiem żony...

Tu ci dziś krew zapachnie synka
kroplami jak porzeczki w sadzie,
zarzy w miesięcznej galopadzie

rudego ze snu cień jehunka...
Jeszcze z peemem rezun czeka,
Na ganuku żonę pogwałcił,
synka do bramy ci przybili,
widłami zadźgali człowieka...

Strunami kolumn spięty ganek
krew ci w cholewach salutuje —
i ukrainiec psem poszczuje
trumnę — ostatni tehu kaganek...

Nasypią na twarz gleby nocą,
a księżyc zniży rude ciemie,
kiedy sztandary tam nad ziemie
z gałęzi brzezi załopocą...

I gwiazda z gwiazd na firmamencie,
krwią namaszczone, opuszczone,
ziemią niesyty i zbroczony,
zaświeci ci na odpocznienie...

Henryk Syska

Ksiądz Piotr Ściegienny i jego „Złota Książeczka”

Z głębokich konfliktów społecznych, jakie ogarnęły Europę w okresie poprzedzającym pamiętną „wiosnę ludów”, z walk prowadzonych o wolność polityczną narodu i sprawiedliwość społeczną wyrosła do rozmiarów historycznych w połowie dziewiętnastego wieku czcigodna postać ks. Ściegienego.

Uboga strzecha wieśniacza przywiodła go na świat. Wpatrzony od dzieciństwa w nędzę wsi kieleckiej czerniejącą niby ściernisko późniwie późną jesienią wśród chałup snuł w najtajniejszych głębinach serca i myśli plany przyszłej organizacji państwowej wspartej na praworządności, zbudowanej według najczystszych wzorów boskiej filozofii.

Ciężki i pracowity był żywot tego kapłana, na którego wspomnienie trzęsła się wściekłością i strachem dłoń carskich namiestników. Cień jego i ślady tropione były dniami i nocą przez rozlicznych policmajstrów i płatnych nadzłuchiwaczy. Mimo jednak czułych opiekunów i niebezpieczeństw nauka jego a potem imię obnosiło się cichym szmerem od wioski do wioski, z chaty do chaty, z ust do ust przenikając rozległe polacie ziem Rzeczypospolitej.

Już jako młody chłop-książęciak ogarnięty został pragnieniem zdobycia wiedzy. Wstąpił do szkoły parafialnej, a później wojewódzkiej w Kielcach. Po ukończeniu jej wrócił do rodzinnej wioski Bilczy, gdzie poświęcił się obowiązkowi ludowego nauczyciela.

W okresie pobierania nauki odczuwał silnie antagonizm klasowy, który odciął go od współtowarzyszy ze szkolnej ławy. Pieczętująca się herbami lub bujnym drzewem genealogii rodowej młodzież odnosiła się z pełną pogardą do jednostki o chłopskiej kondycji, która jako równoważnik przeciwstawić była zdolna tylko szlachetny charakter i nieskazitelną wolę służenia współbraciom.

Rok 1827 jest zwrotnym w jego życiu. Postanowił rzucić tryb życia świeckiego przywdziewając habit oo. Pijarów na Żoliborzu w Warszawie. Czy na tak zasadniczą przemianę stanu wpłynął rozbudzony pierwiastek religijny, czy też inne względy, trudno dać oczywiście niezawodną odpowiedź. Dalsze jednak wypadki, na tle których odsłoniło się oblicze społeczne ks. Ściegienego dają raczej wskazówki, że decyzja ta podjęta została z wyrachowaniem, obliczona na rozszerzenie wpływów dla celu upowszechnienia idei.

Ziemię lubelską upatrzył jako teren swojej działalności. Stąd w tajemniczych okolicznościach docierały do różnych zakątków Polski jego ulotne pisma. Zaglądały do stolicy, Radomia, Kielc i innych poważniejszych ośrodków.

Swoje programowe postulaty utwierdzał proboszcz chodelski poprzez liczne nauki kaznodziejskie wypowiediane najczęściej pod osłoną leśnego gąszczy, potem uwieczniane na papierze.

Pozostały jego dorobek piśmienniczy jest znikomy. Zniszczyła go burzycielska ręka wroga, strawił mól wieku, pokrył pył obojętności i zapomnienia. Ich bezcenne szczątki przechowują po dziś dzień bogate księgozbiory Hieronima Łopacińskiego w Lublinie.

„ZŁOTA KSIĄŻECZKA” — CHŁOPSKA EWANGELIA

W roku 1844 w różnych częściach gmin ziemi lubelskiej i Kielecczyny krążyła książeczka o oryginalnej treści. Prosta w stylu, niewyszukanej formy, poczynająca się od znaków krzyża świętego robiła na słuchających olbrzymie wrażenie.

Nosiła charakter bulli panującego wówczas władcy dusz chrześcijańskich papieża Grzegorza XVI, który lat kilkanaście wstecz wypowiedział słowa potępienia dotyczące wystąpienia narodu polskiego w zbrojnej walce o wolność Ojczyzny 1831 roku. To, co ona zawierała w sobie, przeszło jednak wszelkie oczekiwania.

— „Ja, papież Grzegorz — czytamy na wstępie — którego Ojcem świętym nazywacie, dowiedziałem się o waszej, kochanej dzieci, nędzy i nieszczęściu, jakie od urzędników krajowych i dziedziców ponosicie, przedsięwziąłem z rozkazu samego Boga oświecić was, wydobyć z ciężkiej bie-

dy i niedoli, wskazać wam drogę prawdziwego szczęścia”.

Tonem takim nie przemówił żaden z dotychczasowych następców piotrowej opoki. Bo też nie była to żadna bulla papieska, ale rozmyślnie podrobiony jej fałszyfikat układu ks. Piotra Ściegienego. W niej to wypowiedział on całe swoje credo rozwiązania zagadnień społecznych. Istotnym, nie z oczytania, znawcą duszy ludu polskiego musiał być dawny wikariusz wilkołazki, skoro wpadł na tak niezwykle pomysł użycia podobnych środków agitacji. Jasnym było dla niego, że o wiele dalej dotarło choćby fałszywe i mało ważne słowo z ust osoby duchownej, niż najbardziej szczerza wypowiedź pochodząca od świeckiego wysłannika.

Jest prawdopodobnym, że wzorem dla niego były metody stosowane przez rewolucjonistów rosyjskich, choćby takiego Pu-gaczewa.

Zdaje się — słusznie stwierdza tendencyjny wprawdzie lecz w wielu wypadkach trafny w ocenie historyk Jan Kucharzewski — że „jak przywódcy powstań chłopskich w Rosji posługiwali się fałszywymi ukazami carów, tak ten trybun ludowy Polski posługuje się fałszywą bullą papieską”.

Zdawał sobie sprawę ks. Ściegienny, że siły magnatów są wielkie, że walka łatwą nie będzie. Nie mniej jednak wierzył niezłomnie w ukrytą moc ludu, którą tylko trzeba umiejętnie rozbudzić, używotnić i zjednoczyć. Ten ostatni moment wydał mu się najwyższej wagi. „Nieprzyjaciele wasi — wołał — nie są tak liczni. Możecie dać im radę, trzeba tylko chcieć”. Do tego trzeba tylko świadomości walki i solidarności w działaniu. Dotychczasowe rządy pańskie opierają się tylko na umiejętnym skłócaniu mas pracujących między sobą i używają ich w ten sposób jako nieświadome narzędzie walki o własne interesy.

„Panowie nigdy by nie wygrali, gdyby im chłopcy nie pomagali”. „Należy, abyście się wszyscy zmówili i razem uderzyli na tych, którzy się z wami jak z bydłem obchodzą”.

PRACA I OŚWIATA — JAKO CHŁOPSKIE WSKAZANIA

Nierobstwo jest głównym przestępstwem człowieka. Praca to najistotniejsze dobro, które stanowi winno o prawach jednostki i jego egzystencji. Jest wielką niesprawiedliwością, aby jednostka próżnująca tuczyć się miała na wysiłkach bliźniego. „Bóg stworzył ludzi — powiada — aby pracowali jedynie dla siebie, dla starców i kalek, umieli czytać i pisać”.

Ostatnie dwa słowa świadczą najdobitniej o stosunku ks. Ściegienego do czynnika, który jest podstawą wszystkich reform społecznych. Czynnikiem tym jest oświata. Wiedzieli o tym wrogowie postępu. Słusznie stwierdził ze swego punktu widzenia pewien magnat galicyjski, że „oświata to siekierka, którą się łatwo skaleczyć”. Na tę stronę kładł nacisk ks. Ściegienny w dalszych ustępach swego listu. „Ponieważ dlatego panowie uciskają was, że nie umiecie ani czytać ani pisać... ja, Grzegorz, oświadczam temu chłopu, który się nauczy czytać i pisać, że nagłą śmiercią nie umrze i zła przygoda go nie spotka”. „Rodzice, którzy chłopca na naukę oddadzą, dostąpią błogosławieństwa boskiego”. W dalszym ciągu swych wywodów nawołuje do ofiarności na rzecz uczącej się młodzieży chłopskiej obiecując, że: „Bóg dar taki sownie wynagrodzi a oprócz tego dostąpi sto dni odpustu”.

Zachęta taka w porę wygłoszona napewno nie pozostała bez echa.

Wrogi stosunek do wojen uzewnętrznił się również w charakterze ks. Ściegienego. „Wojna — powiada Złota Książeczka — jest najgorszym złem na świecie, sprowadza głód, mór i powietrze”. „Panowie postanowili wojnę, aby was osłabić”. „Królowie i panowie nie biją się, tylko was prowadzą na wojnę jak bydło na rzeź”. „Kiedy się podoba panom wojny prowadzić, niech się sami biją”. „Takie próżniaki — panowie i królowie na świecie niepotrzebni, ale pracowitego człowieka to wielka szkoda”. Ale rozlew krwi musi kiedyś nastąpić.

Będzie to wojna nie narodu z narodem na rozkaz monarchów, ale wojna ideologiczna. Wojna taka jest ziem koniecznym. Będzie jednak „sprawiedliwą, bo w obronie życia i wolności, w obronie praw i pracy waszej prowadzić ją będziecie”. A więc stąd wniosek wypływa: „na taką wojnę idźcie wszyscy, bo taka wojna będzie o wasze szczęście”.

Poczesną pozycję w sposobie myślenia ks. Piotra zajmuje sprawa sojuszu wsi i miast. Niemal na każdym miejscu akcentuje tę kardynalną zasadę, którą niestety przeoczyło wielu przywódców chłopskich ostatnich czasów. „Niech chłop i mieszczanin broni nieszczęśliwego chłopca i mieszczanina”. Moment solidarności klas pracujących występuje u niego z całą wyrazistością w chwili, kiedy zwraca się do „ludzi mieszczan, aby porzuciwszy wkorzoną w sercach ich przez nieprzyjaciół rodu ludzkiego niesłuszną pogardę ku ludzkom-chłopom zajęli się szczęściem własnym, którego bez dolożenia się chłopów osiągnąć nie potrafią, zajęli się oświeceniem chłopów”.

WSPÓLNOTA SŁOWIAŃSKA I SPRAWA KLERU

Nie uszła baczności ks. Ściegienego także sprawa polsko-rosyjska. Wprawdzie nie kreślił tam żadnych na szerszą skalę obliczonych planów terytorialnych, czy też koncepcji kulturalno-politycznej. Godnym ze wszech miar wspomnienia jest fakt, że zdecydowanie przekreślił motyw przepaści, jakie miały rzekomo dzielić na zawsze obydwie słowiańskie narody. Pomiedzy chłopem polskim a rosyjskim nigdy nie było różnic. Jeden i drugi jęczał pod ramionami własnych despotów. Jeden i drugi nie miał nigdy ojczyzny. Dzieliła ich w sposób sztuczny podstępna propaganda idąca od dworów i kazalnicy, łączyła więź mocniejsza ponad wszystkie środki zespalające. Czynnikiem tym to wspólna niedola, wspólne poniżenie i deptanie godności ludzkiej, które jednej i drugiej stronie przypadło w udziale. Aktualny zawsze ten temat zamyka w następujących zdaniach: „Na przeszłych wojnach panowie Polacy kazali wojsku z chłopów i mieszczan złożonemu bić wojsko rosyjskie z chłopów i mieszczan złożone. Panowie rosyjscy także kazali swemu wojsku bić wojsko polskie. Zabijało się wojsko, a panowie z daleka patrzyli. W przyszłej zaś wojnie staną chłopcy i mieszczanie polscy i rosyjscy z jednej strony, a panowie polscy i rosyjscy z drugiej strony. Chłopcy będą strzelali nie do chłopów, ale do panów”.

Duchowieństwo według sądów ks. Ściegienego także nie stoi na wysokości zadania. Temu zagadnieniu poświęca całkowicie jeden ze swoich rękopisów pt. „Zakon chrześcijański”. W nim to, jak stwierdza Wincenty Banaś „atakuję gwałtownie życie księży, ich chęć bogacenia się, piętnuje ich ciemnotę, nałogi, grę w karty, uleganie wpływom gospodyń, wyzyskiwanie ludności za posługi religijne. Celibat księży należy jego zdaniem znieść. Język łaciński w liturgii niezrozumiały dla szerokich mas chłopskich należy zastąpić językiem narodowym”.

Wiedząc o tym, że zdecydowana przewaga kleru stanie po stronie wrogów demokracji, woła ks. Ściegienny do narodu: „Panów i księży, którzy by was namawiali trzymać stronę monarchów, nie słuchajcie”. „Poznałście dzieci moje, że monarchowie, panowie, księża nawet są ważnymi nieprzyjaciółmi”.

W końcowej fazie „cudownej książeczki”, jak to dziś jeszcze krąży o niej legenda po wioskach lubelskich, następują już tylko szczegółowe przepisy wykonawcze. Nawołuje w nich ks. Ściegienny, aby bróń Boże list ten nie dostał się w ręce „pijako-wi, ekonomom, organistom, księżom nawet, a szczególnie wójtom gmin i burmistrzom... bo by mógł ten list wydać panom”. Obiecuje nagrodę w postaci zupełnego odpustu temu, „kto pytany nie wyda listu, ani powie kto go ma, choćby go nawet bito”. I odwrotnie. Grozi najsurowszą karą — ognia wiecznego każdemu, „kto by się powazył panu jakiemu oddać”.

Wzywa dalej do zachowania spokoju i nie poczynania przedwczesnie buntu. Trze-

bą poczekać, aż sprawa dojrzeje i przyniesie do świadomości większości obywateli. Nakazuje więc „mieszczanom, aby nie sprawiedliwie podatki i ciężary opłacali, włościanom, aby spokojnie odrabiali uciążliwą pańszczyznę i darmochy... aby panom nie dać poznać iż się przygotowujecie do zrzucenia raz na zawsze okrutnego jarzma niewoli”.

„Spodziewam się, moje kochane dzieci, wieśniacy i mieszczanie — padają ostatnie słowa pasterskiego listu — iż zachowacie moje rady i nauki, a w spokojności i uległości będziecie się uspasabiali do walki, jaka niedługo na chwałę Bogu i korzyść waszą nastąpi”.

KATORGA KS. ŚCIEGIENEGO

Daleka jednak była jeszcze droga do spełnienia marzeń ks. Piotra Ściegienego. Wprawdzie reformy społeczne nastąpiły w każdym roku, wprawdzie magnateria cofała się z wolna pod naporem sił krępującej z każdym dniem demokracji, ale wszystkie te wywalcone krwawo ustępstwa nie mogły zaspokoić potrzeb polskiego chłopca, nie mogły zaspokoić ambicji bojowników za wolność i lud.

Sam spiszek chłopski ks. Ściegienego niedługo znalazł tragiczny epilog. Zdradzony haniebnie przez sługusów caratu szlacheckiego pochodzenia został uwięziony, a następnie skazany na karę śmierci. Wyrok ten został jednak w ostatniej chwili odwołany. „Wola Najjaśniejszego Pana cara Mikołaja I zmieniła stryczek na dożywotnią katorgę”. Popędzony został na Sybir, gdzie przebywał kilkadziesiąt lat, ale i tam, jak dawniej na rodzinnej ziemi nie załamał się na duchu. Idąc swą okrośloną mianem „społeczności” rozszerzał dalej wśród swoich współbraci — wygnañców. Osoba jego poddana była specjalnej opiece policyjnej jako jedna z bardziej niebezpiecznych.

Najlepszym tego dowodem, że wielka amnestia ogłoszona przez cara Aleksandra II dotycząca również przestępstw politycznych na emigracji nie objęła zasięgiem swym ks. Ściegienego. Dopiero pod koniec swego życia pozwolono mu wrócić do „ojczyzny łono”. Przyniesiony ciężarem wieku i męczeńskiej drogi nie mógł roztoczyć czcigodny starzec żadnej działalności na szerszą skalę. Jako kapelan szpitala Bonifratrów, zmarł w sędziwym wieku go lat w 1890 roku w Lublinie, gdzie pochowany został na miejscowym cmentarzu.

Zeszedł z tego świata w zapomnieniu i ubóstwie. Najbliższe grono Jego przyjaciół-sybiraków mimo starań nie było w stanie zebrać potrzebnej kwoty na zakupienie stałego miejsca wiecznego spoczynku dla kapłana-demokraty. Z tych też powodów zwłoki Jego złożono do grobowca ks. Wnorowskiego.

W kręgu walki o sprawiedliwość i ludowadztwo w Polsce należy bezsprzecznie ks. Ściegienny do czołowych osobistości. Jego krzyżowa droga i wysiłek oddany dla Polski Ludowej stawiają go w rzędzie spadkobierców postępowej myśli wodzów takiej miary jak pułkownik Zaliwski, Walerian Łukasiński, Szymon Konarski a zwłaszcza Edward Dembowski, od którego przejął wiele cennych pierwiastków.

Wśród duchowieństwa polskiego należy ks. Ściegienny do tych nielicznych księży, jak Staszic, Stojałowski, Brzózka czy też z obecnie żyjących ks. Borowiec, którzy wbrew antyludowemu nastawieniu Episkopatu prawdy świętej Ewangelię przekazywali nie z wysokości pałaców i dworów, ale szli pod strzechy ze słowem prawdy, by naprzekór tendencjom i klątwom rzuconym z biskupich tronów według słów kołendy Kasprowicza — z ludem się dzielić „białym chlebem miłości”.

W OSTATNIM 46 (74) Nr „Wsi”
z dnia 24 listopada 1946 r.

Maciej Czula — Jan Stapiński (1867 — 1946); Zygmunt Kalużyński — „Chłopska Krew” — opera ludowa w Jeleniej Górze, Teodor Goździkiewicz — Grzymalita; Jan Spiewak — * * * Jerzy Sikorski — O Głucholazach; Władysław Blachut — Rozwój oświaty powszechnej; Władysław Machejek — Płomyk łaski; Marian Narcey Listowski — Z pół; kolumna recenzji; fakty i zdania, komunikaty, ogłoszenia, 4 ilustracje, 8 stron.

Józef Bieniek

Nieporozumienie

(Leszczyńskiemu i Skulskiemu w odpowiedzi)

Pisząc swego czasu list do Józefa Pogana, przypuszczałem w naiwności ducha, że narobię moc szumu, że sprowokuję ożywioną i zacieklą dyskusję — że pochwalą i okłną, że zaczepione zagadnienie — nie czto wiek — zostanie wszechstronnie „opukane” i omówione. To tkwiło w koncepcji owego listu i we wstępie od redakcji. I z tego właśnie nic nie wyszło.

Z niecierpliwością wyczekiwałem każdego numeru „Wsi” w nadziei, że przecież ktoś, że sam Pogan rąbnie mnie na odlew. I nic. Długo nic. Martwiłem się z tego powodu więcej niż należało. Denerwowałem się i kłamałem. Paskudnie — jak szew! I też nic. Ki diabeł, — dręczyło mnie — dlaczego cicho? Dlaczego wystrzał zginął bez echa?

Aż wreszcie „po długich a ciężkich” zarzmiął z Wrocławia potężne echo. Zabrał głos medyk Leszczyński i swymi trzema małymi groszami stłukł mnie niemiłosiernie. Ba, jak trupka w prosektorium, pokrąjał na tyfusienkie kawaleczki, skruszył w „drebieszi”.

I znów nastąpiła długa cisza. Miałem tedy czas pozbiierać porozrzucone kosteczki, poczem rozpuściłem większą ilość kleju, za pomocą którego scaliłem rozparcelowaną przez Leszczyńskiego jaźń w jaką taką całość. Aliści ledwo się pozbiierałem, znów los nadarzył Skulskiego, który stłukł mnie do reszty porcją naprawdę gorzkich prawd.

Żyję jednak i choć pobity — nie czuję się wcale zwyciężonym, nie rezygnuję z walki i biorę się do obrony zmasakrowanego stanowiska. Tymbardziej, że wydaje mi się, iż nie zostałem należycie zrozumiany.

Panowie! — jaką jest wieś, to ja aż nadto dobrze wiem. W niej przecież urodziłem się i z niej przez trzydzieści parę lat życia — poza miesięcznym kursem oświatowym T.S.L. — nie ruszałem się. Tu żyję dalej. Na wieś, jej ludzi, rzeczy i sprawy — mimo imputowanego mi superentuzjazmu — patrzę trzeźwo, bez retuszu — po prostu. Mimo że kocham wieś — mam jej, takiej jaką ona dzisiaj jest, po uszy, i chciałbym — o jak bym bardzo tego chciał — by ona mogła być inną. I o to mi w owym liście chodziło, a ten właśnie najbardziej istotny moment został w duecie dyskusyjnym całkowicie pominięty.

Nie leżało w założeniu listu do J. Pogana jego twórczości, osiągnięć i dorobku łamać, umniejszać czy zgłolać przekreślać. Może tylko stanowisko swoje nie zbyt wyraźnie sprecyzowałem — i stąd nieporozumienie — bo mnie chodziło głównie — o to, by literatura chłopstwa weszła w zespół aktywnych sił chłopskich, idących po linii najintensywniejszych prac mających na celu szybką a generalną i gruntowną przemianę wiejskiej struktury społecznej, gospodarczej i kulturalnej. By nie była biernym widzem lornetującym przewalające się po scenie życia zjawiska, lecz aby w grze o nową rzeczywistość chłopską zajęła jedną z najważniejszych ról.

Nie chodzi mi nawet o to, by literatura koniecznie nie miała opisywać zła, jakie niewątpliwie i to w katastrofalnie niekiedy nieproporcjonalnym układzie sił ujawnia się w życiu wsi, okupując z tragicznymi skutkami los chłopski, budując najcięższe barykady na drodze rozwoju i wzrostu wsi. Mnie chodzi tylko o to, aby zło takie usuwać przy pomocy wszystkich sił mających pozytywny stosunek do wsi, mogących oddać mniejsze lub większe usługi tym, którzy orzą pod plon przyszłych dni, którzy sięją ziarna jutrzejszego dobra.

Mam wrażenie, że kto jak kto, ale literatura chłopska winna zagadnieniu temu poświęcić wszystkie swe siły i możliwości — jako czynnik najmocniej przemawiający do uczuć, pojęć i wyobraźni ludzkiej. Ale nie wydaje mi się, by artystyczne ujawnianie głupoty i podłości było dobrą i konsekwentną metodą walki ze złem, o dobroć uczuć i jasność pojęć, walki o nowe go chłopca, o nową wieś.

Nasuwa się znów brutalne porównanie takiej literatury do pluchy-baby, która w maju, na pięknie kwitnących krzakach bzu rozwiesza zafajdane pieluchy, susząc je, niewyprane, w cudnym blasku słońca.

Nie przeczę — kocham wieś bardzo i być może uczucie to czasem przesłania mi widok nagiej prawdy, mgiełką sentymentalności.

Ale rozgrzeszam się tym, że miłość moja nie jest uczuciem konjunkturnym wyrachowanego i jakże często sprzedajnego polityka, że za cel życia mego przyjąłem nie awans, nie fotel, ale dolożenie jak największej ilości cegieł w ścianę wymiennego Domu Chłopskiej Przyszłości. Do domu pełnego sprawiedliwego dobrobytu, domu promieniującego mądrością dobrą jak uśmiech matki, jak promień słońca — mądrością żywną jak chleb. W imię tej miłości wolno mi coś popierać lub zwalczać; uznawać lub potępiać. Mam do tego prawo — prawo wolnego człowieka i prawo świadomego chłopca.

Kocham wieś i dlatego nie jest mi obojętny wyraz jej prawd. I pragnę — wolałbym, aby literatura chłopska brała na warsztat, przetwarzając i ukazywała światu chłopskiemu takie prawdy, które zachęcają do walki o ten czy inny ideał, które uczą jak walczyć trzeba by wygrać, które planują, rzutują śmiało w przyszłość, szukają i ukazują drogi wyjścia z chaotycznego impasu, które wspierają wątpliwych, umacniają słabych, pomagają mocnym.

W imię takiej wiary chciałbym — myśleć że nie grzech — widzieć w literaturze chłopskiej jak najmniej poganowskich (daruje Józefie, już nie będę) Walków Bogaczów — gwałtocieli, wyzyskiwaczy, łotrów, a jak najczęściej oskarżonych Franków Rakoczych. Oni to, nie plugawe Walki, odbudują wieś polską. Oni — wczorajsi żołnierze oddziałów partyzanckich, dzisiejsi traktorzyści, spółdzielcy, żołnierze i oficerowie M. O. i W. P., żołnierze i oficerowie tej najważniejszej armii chłopskiej, która na frontach reform i przemian walczy o nową wieś.

Tej armii trzeba pomocy — broni. Wiele i przedniego gatunku. Taką bronią będą książki i publikacje. Ale przecież, na miły Bóg, nie Boryna otworzy okno na świat zespołowi samokształceniowemu w Kole młodzieżowym, nie Walek pod rozumną i życzliwą dłoń młodemu chłopcu, samoukowi, szukającemu po przez książkę drogi ku światłu i człowieczeństwu. Nie. Nie przemianom wsi, dopiero zgrubsza zarysowanym, tak bardzo potrzebnym i tak gorąco wyczekiwanym nie pomogą najbardziej nawet chłopskie książki, najartystyczniej opracowane, z których powieje smród głupoty i złości, niedoświadczenia i podloty.

Szerokie i ogólne znaczenie miał mój list do Pogana, którego w tym wypadku zepiłem się po prostu z braku innego przykładu. Za co go zresztą najmocniej przeprosiłem.

„Gorzkie prawdy”, Skulskiego dają treść i swy obraz wsi dzisiejszej. Obraz to jednak złością pisany — za gorzki. Uogólnia on zbyt obcesowo pewne ujemne zjawiska — przez co wykoszlawia właściwy kolor życia chłopskiej gromady. Tak źle to jeszcze nie jest. Bo przecież — do diabła — nie każda dziewczyna — jakby z „Gorzkich Prawd” wypadła — gzię się po nocałach i goni za muzykami bez wiedzy i wbrew woli matki, nie każda matka jest służącą swojej „córki”, nie każdy smarkacz pali, pije i włóczy się nocami po za domem, nie każdy wreszcie gazda chłopca się w bimbrze i „świńskim chodem” przemierza wiejskie świątki. To jest tylko część życia. Nie duża, nie mała, tu większa, tam mniejsza, ale zawsze tylko część. Ujmę ją cyfrowo na przykładzie pewnej bardzo dobrze mi znanej wioski. Nie jest ona ani najlepsza, ani najgorsza — ot taka sobie przeciętna, zwyczajna wioszczyzna na Podhalu.

Zmian tu dużo mniej niż u Skulskiego. Dziewczęta po dawnemu noszą chusteczki, nie ma bruku, elektryczności i radia. Jest za to błotko tak samo uroczne jak sto lat wstecz, są krawaty i kamasze, jest i bimber — co raz rzadziej, ale jest. Jednak na sto przeszło rodzin „córkatych i synatych” naliczyłem zaledwie — słowo honoru daję — 5 takich co to latają same za muzykami i wylegują się z kim można komponując kołysanki. Z chłopakami o ciupinę gorzej, bo naliczyłem już 10 „mleczaków” przypalających od ojca i z flachą bimbru łączących nocami. Notorycznych pijusów uzbierało się 4, perjurycznych 6. Na deser kilku złodziei i paru bitników. I to wszystko, albo prawie wszystko.

Reszta żyje jak może. Czasem lepiej, czasem gorzej — jak się da. Daleko im

oczywiście do doskonałości, ale też nosami po ziemi nie ryją. Najczęściej też jak u Skulskiego — czytają mało — gadają dużo więcej, cyganią w miarę potrzeby, do kościoła chodzą więcej z nawyku, rodzą się i umierają — bo nie można inaczej, placą podatki i służą w wojsku — bo muszą, reformie rolnej nie nie zawdzięczają — bo dworu nie było, a do szkół w mieście dzieci nie posyłają. I narzekają. Tak samo dziś, jak wczoraj, jak sto lat temu.

Ale czy stwierdzenie takiego faktu da coś? Nie. Napewno nie. I sercu nie lżej, a ciężej i ręce opadają.

Jeszcze jedno: Pisma inteligentkie jak „Odrodzenie”, „Dziś i Jutro”, „Pokolenie” i inne raz po raz zamieszczają prawdziwe lub artystycznie „wykombinowane” opisy gloryfikujące działalność oddziałów partyzanckich, grup dywersyjnych, bojówek i poszczególnych działaczy A.K. A.L. czy G.L. O chłopskim ramieniu bojowym, Batalionach Chłopskich, w tych pismach cicho. Nic zresztą dziwnego, skoro i w prasie chłopskiej też cicho.

Thumaczy się to niby tym, że w oddziałach A.K. czy A.L. — złożonych zresztą w olbrzymiej części z chłopów — trafili się intelektualni — pisarze, literaci, publicyści. Zaś oddziały B. Ch. składały się z ludzi prostych — nie rzadko niepiśmiennych. Ale to nie jest żaden powód by najpiękniejsza z kart historii chłopskiej w ostatniej wojnie musiała lec w zapomnieniu.

Działalność B. Ch., oraz ogólny związek i udział wsi w ruchu podziemnym to olbrzymi wkład chłopca w dzieje walk o niepodległość. Nie miasta to przecież a wieś żywiła i ukrywała żołnierzy podziemnych. Chłopskie chaty leczyły rannych, opiekowały się chorymi, chroniły ściganych, narażając się na najgorszy los. Bo żołnierz przyszedł i poszedł nie martwiąc się, że zle oczy widzą i doniosą. Nie jedna też chata, nie jedna wieś zapłaciły za taką gościnę cenę najwyższą — cenę ognia i życia.

Dość wspomnieć Zamojskie, Kieleckie i nasze Podhale, Beskidy, Gorce — gdzie już w roku 1940 powstały załazki ruchu partyzanckiego, kiedy w latach późniejszych lasy roły się od żołnierzy, a dzień każdy rozbrzmiewał wrzawą walk.

Wypalone do znaku wieś — setki chat, sterty mogił — oto pomnik bohaterstwa chłopskiego, świadczący o jego niezłomnej postawie w tamtych latach. O tym zapomnieć nie można. Nie wolno!

Głośnie wyczyny nieustraszonych oddziałów „Sepów”, „Tatarów”, „Oblazów”, „Marków”, „Potoków” i dziesiątków innych przeszły tu w legendę. Ale legendę rozbudować trzeba wzdłuż i wszerz — na całą Polskę. By umacniały się nią przyszłe pokolenia chłopskie.

Historia tych lat, tych walk — chłopskich, walk, chłopskich zwycięstw i klęsk i chłopskiej nauki o Polsce — czeka na swych badaczy i piewoców.

Zródła to zaś tak bogate, że warto w nie zanurzyć wrażliwą i twórczą duszę. Zacierpnijmy materiał starczył będzie na wiele tomów wspaniałych epepe chłopskich walk o Polskę.

I tu też leżą złoza tematów, w których piśmiennictwo chłopskie pogrzebać winno jak najdokładniej, by od zagłady wyratować i podnieść ku chwale chłopskiej wiele bezcennych dla historii faktów i wydarzeń.

Na koniec jeszcze wyjaśnienie, które winien jestem p. Leszczyńskiemu.

Zbieżność omawianego listu z „Ożywcymi krynicami” Jana Wiktora, którą mi Pan przypisuje, jest zupełnie przypadkowa. Nie, nie czerpałem z „Ożywczych krynic” albowiem — ze wstydem przynależę się muszę — nie czytałem ich. I nie dlatego bym nie cenił pięknej postawy życiowej i twórczej ich Autora, lecz poprostu dlatego, że nie stać mnie na kupno jakiegokolwiek książki. Są one grubo za drogę w stosunku do zarobków uczciwego sklepikarza, mającego liczną rodzinę, jeszcze liczniejsze niepowodzenia osobiste, a w dodatku poświęcającego wszystkim wolny czas działalności społecznej i oświatowo-kulturalnej.

WYDAWNICTWA
Instytutu Oświaty Rolniczej
Związku Samopomocy Chłopskiej
REDAKCJA I ADMINISTRACJA:
Warszawa, Al. Przyjaciół 5.
WRZESIEŃ 1946

BIBLIOTEKA SAMOPOMOCY CHŁOPSKIEJ

- Nr. 1 Prof. dr E. Chroboczek: „Ogród warzywny przy domu”, str. 28, cena zł. 5.
- Nr. 2 Inż. St. Zaliwski: „Krzewy owocowe”, str. 64, cena zł. 25.
- Nr. 3 Prof. dr J. Kochman: „Ochrona sadów”, str. 50, cena zł. 20.
- Nr. 4 K. Chrzastowski: „Wskazówki dla księgowych spółdzielni Samopomocy Chłopskiej”, str. 104, cena zł. 40.
- Nr. 5 Prof. dr J. Jagmin: „Uprawa lnu i konopi”, str. 56, cena zł. 20.
- Nr. 6 Prof. dr Z. Golonka: „Łąki — ich uprawa i użytkowanie”, str. 36, cena zł. 18.
- Nr. 7 Doc. dr A. Listowski: „Ziemniaki”, str. 40, cena zł. 20.
- Nr. 8 Prof. dr Cz. Kanafojski: „Siewnik rządowy”, str. 36, cena zł. 25.
- Nr. 9 Prof. dr Z. Pietruszczyński: „Lucerna”, str. 40, cena zł. 25.
- Nr. 10 Prof. Andrzej Mering: „Jak przetwarzano owoce i warzywa na użytek własny”, str. 72, cena zł. 30.
- Nr. 11 Inż. Z. Dubiska i dr J. Dubiski: „Człowiek i chów kur”, str. 66, cena zł. 30.
- Nr. 12 Dr J. Kielanowski: „Chów świń”, str. 52, cena zł. 30.

ZAGADNIENIA ROLNICZE

- Nr. 1. Inż. St. Zaliwski: „Dobór odmian drzew i krzewów owocowych”, str. 20, cena zł. 10, (wyczerpane).
- Nr. 2. Prof. dr Cz. Kanafojski: „Zagadnienie racjonalnego wykorzystania traktorów”, str. 10, cena zł. 10, (wyczerpane).
- Nr. 3. Inż. Z. Dubiska: „Naturalny i sztuczny wychów kurcząt”, str. 12, cena zł. 10, (wyczerpane).
- Nr. 4. Doc. dr A. Listowski: „Możliwość rozwoju nasiennej w drobnych gospodarstwach”, str. 12, cena zł. 10.
- Nr. 5. Prof. dr Z. Pietruszczyński: „Wybór glebów ziemniaczanych”, str. 12, cena zł. 10 (wyczerpane).
- Nr. 6. Prof. dr J. Kochman: „Choroby wirusowe ziemniaków”, str. 20, cena zł. 20.
- Nr. 7. J. Skulski: „Niebezpieczeństwo stonki ziemniaczanej”, str. 1, cena zł. 10.
- Nr. 8. Prof. dr E. Chroboczek i Prof. dr Fr. Piascik: „Jak przebudować istniejące budynki na przechowalnię owoców i warzyw”, str. 32, cena zł. 20.
- Nr. 9. Prof. dr inż. Czesław Kanafojski: „Sprawa budowy polskich ciągników rolniczych”, str. 12, cena zł. 15.
- Nr. 10. Mgr. J. Pieniążek: „Sok Pomidorowy”, str. 16, cena zł. 15.
- Nr. 11. Prof. dr E. Chroboczek: „Zagadnienie produkcji i przetworstwa warzyw w chwili obecnej”, str. 44, cena zł. 20.

W DRUKU:

- Prof. dr M. Górski:
Nawozy i Nawożenie.
- Prof. dr M. Górski:
Nawozy Naturalne.
- Prof. dr B. Świętochowski:
Poradnik Osadnika Śląskiego
Cześć I — Uprawa roli i roślin.

Leonard Sobierański

LUDZIE, KTÓRZY SIĘ NIE SPOTKALI

Jerzy Eugeniusz Płomiński. — „W kręgu Polskiej Irredenty”. (O Edwardzie Dembowskim, Jakobie Szeli i rzuci galicyjskiej). Państwowy Instytut Wydawniczy. Warszawa 1946.

Rokiem kościuszkowskim i setną rocznicą Powstania Krakowskiego rzeczywistość dzisiejsza przetrzuca się w przeszłość, sięga w głąb czasu, by stamtąd wydobyć tradycje postępowe, wskrzesić myśli i ludzi, którzy z pokolenia na pokolenie tradycje te wzmacniali, przydając im nowej, rewolucyjnej treści. Uczenie tego wszystkiego, co w „dawnych” już parło do wyjścia na światło dzienne, to właśnie oddanie sprawiedliwości zdarzeniom i ludziom, którzy na dzień dzisiejszy od wielu dziesiątek lat pracowali.

Bardziej jednak istotną prócz skłonu głowy formą holdu, formą, na którą zdobywa się publicystyka dzisiejsza, jest próba pokazania społeczeństwu, że to wszystko, co nazwamy dobą dzisiejszą, nie jest czymś, co przychodzi do nas nie wiadomo skąd, lecz, że to tylko ostatnie ogniwo łańcucha, który zaczął wykuwać Kollontajowski Obóz Reformy, Uniwersał Polaniecki, Manifest Towarzystwa Demokratycznego z 1836 r., czy wreszcie Manifest Rządu Narodowego z roku 1846. Dzień dzisiejszy tym odwołaniem się do przeszłości stwierdza swoją historyczną dojrzałość.

Punktem wyjścia do poniżej skreślonych uwag była dla mnie książka J. E. Płomińskiego, traktująca o powstaniu krakowskim w roku 1846. Z wielu tegorocznych pozycji rozpraw i artykułów, zajmujących się tym tematem, jest to praca najobszerniejsza. Zagadnienie 1846 roku w Polsce roztrząsa również R. Werfel w wyczerpującym artykule, drukowanym w lutymowym numerze „Twórczości” z br. Metody pracy Płomińskiego i Werfela są jednak całkiem inne. Pierwszy interesuje się postaciami dramatu, ujmując je raczej od wewnątrz; cechy charakteru będą tu odgrywały dominującą rolę, autor będzie się starał przede wszystkim uchwycić „portret duchowy” bohatera. Płomiński realizuje schemat typu monografii, wypracowany przez historyków literatury szkoły krakowskiej, reprezentowany najwybitniej przez prof. Ignacego Chrzanowskiego. Werfel natomiast ma podejście socjologiczne, jego interesuje sam proces zjawiska, którym był w Polsce rok 1846. Dembowski i Szela w jego rozprawie to ludzie wtopieni w nurt ówczesnych wypadków. Autor ten będzie starał się wykryć wszystkie te siły społeczne, które brały udział w taki czy inny sposób w Powstaniu Krakowskim.

Obie prace są nowe przez to, że autorzy stawiają w nich obok siebie dwa nazwiska, których poprzedni badacze nigdy nie łączyli znakiem równości.

Dembowski i Szela to zdarzenia w naszej historii, które w etapach postępującej demokratyzacji narodu zamiast zgodnego akordu dały zgrzytliwy dysonans.

Tak zwanej „rabacji chłopskiej” nikt już dziś nie chce ujmować jako czegoś, co by miało tylko kompromitujący wydźwięk w naszych dziejach. Pozostanie faktem bezspornym, że rewolucja narodowa została wówczas zdławiona przez masowy odruch „dołów”; odruch ten był właściwie pierwszą w tej skali w Polsce rewolucją socjalną. Dembowski, inspirator rewolucji narodowej, wymierzonej przeciwko państwu, które broniło starego porządku, pada w momencie, gdy pragnie wyjść na przeciw ludzi (nie tylko dosłownie), których wysyła na „rzeź” zbuntowany przeciwko temu porządkowi chłop — Szela. Żadnej wątpliwości nie podnieś dzisiaj nikt co do faktu, że chłop galicyjski i chłop polski w ogóle mieli od dawna słusze prawo do masowego buntu. Można się tylko spierać o formę i moment. Tym właśnie problemem pragnę się zająć, opierając się na materiale dostarczonej przez dwie wyżej cytowane prace.

Rzeczą podstawową byłoby tu zagadnienie, dlaczego te dwa kolosalne wysiłki: chłopski, dopominający się dla siebie o jakieś bardziej ludzkie prawo — i inteligentcko-postępowy, pragnący mu to prawo wywalczyć — rozmięły się, zamiast zsumować się w pozytywnym dla Polski osiągnięciu

OSOBOWOŚĆ SPOŁECZNO-KULTURALNA DEMBOWSKIEGO

„Czerwony kasztalanie” jak nazywa Dembowskiego Werfel jest ciekawą ilustracją tego, jak kształtowała się nasza inteligencja narodowa. Nie był on jakimś faktem odosobnionym. Mnóstwo mu współczesnych ze świata literackiego, naukowego, z kręgu tworzącej się wówczas inteligencji zawodowej, myślało i czuło jak on. Tworzyli oni intelektualną elitę narodową, która zjawisk życia społecznego nie ujmowała już tylko w kategoriach stanowych, ale właśnie w kategoriach ogólnonarodowych. Ludzie ci kształtowali się pod wpływami postępowej myśli europejskiej. U kolebki ich wejścia w orbitę tej myśli stała Rewolucja Francuska. Główne hasła tej Rewolucji: „Wolność, Równość, Braterstwo” — stały się składnikami ich osobowości kulturalnej.

Dembowski przyszedł na świat w środowisku arystokratyczno-ziemiańskim, osobowości jego jednak nie ukształtowało to środowisko, lecz właśnie te treści kulturalne, które były własnością całej ówczesnej Europy.

J. E. Płomiński w swoim zarysie monograficznym podkreśla ciągle, że Dembowski wyrzekł się swej warstwy. Autor nie stawia jednak kropki nad i; nie pokazuje wyraźnie tych momentów, które zapalne, młodego postępowca skłóciły z członkami rodowej klasy. Między Dembowskim a tą warstwą stanęła przede wszystkim różnie pojmowana koncepcja rewolucji narodowej. Kult tej rewolucji wszczepił wówczas w każdego polskiego inteligenta Romantyzm. Arystokracja przyjmowała go z rezerwą, postępowcy bez zastrzeżeń. Pierwszych i drugich zasadniczo różniły sposoby czy metody realizacji powstania. Na odzyskanie wolności politycznej z zachowaniem jednak starego porządku ziemianstwo konserwatywne szło chętnie, nie skąpiąc nawet ofiar, ale na rewolucję narodową połączoną z rewolucją socjalną nie godziło się wewnątrz nigdy, raczej wtedy wolało paktować z zaborcą za cenę zagwarantowania starego ustroju społecznego.

Spory emigracyjne na „paryskim bruku” po klęsce powstania listopadowego stały się początkiem tego zasadniczego pytania: „O jaką Polskę będziemy się bili i jakimi siłami możemy ją wywalczyć”. Towarzystwo Demokratyczne, grupujące na emigracji w swych szeregach cały ówczesny element postępowy stawia sprawę zdecydowanie — przekreśla ono ideę państwa stanowego ze szlachtą jako warstwą rządzącą, domaga się natomiast, by państwo było instytucją równych obywateli i równych przywilejów dla wszystkich grup społecznych. Problem socjalny nie był wówczas tak zróżnicowany jak w czasach ostatnich. Polska jako państwo agrarne miała nadal zasadniczo dwie klasy: właścicieli ziemskich — szlachtę i robotników rolnych — chłopów pańszczyźnianych. Postęp społeczny mógł wtedy iść tylko w jednym kierunku: wyzwolić chłopów z pańszczyzny, zapewnić im ludzkie warunki bytu, stworzyć takie stosunki, w których by oni mogli stać się cenną dla Polski warstwą.

Sprawiedliwość społeczna u Dembowskiego mieściła się przede wszystkim w romantycznym kulcie Ojczyzny i narodu. Państwa nie odzyska się kilkudziesięciu tysiącami szlachty, w walce o wyzwolenie muszą udział wziąć masy. Przy niemożności nakazu trzeba by było odwołać się do dobrej woli tych mas, naturalnie w imię poprawy ich bytu. Tam, gdzie zyskałby chłop pańszczyźniany, musiał oczywiście stracić szlachcie-właściciel folwarku. Stąd zagadnienie walki narodowej stało się dla „czerwonego kasztalanie” zagadnieniem społecznym. Teoretycznie stanął on więc po stronie większych sił potencjalnych, które by można wykorzystać do walki o Polskę. Co Dembowskiego doprowadziło jednak do klęski? do tego, że nie umiał on wygrać ludu (wygrać w najlepszym tego słowa znaczeniu); nie potrafił wejść z nim w pakt. Pamiętajmy tu fakt, że Dembowski jako młody emisariusz i konsultor nie był w stanie przepracować tej sprawy, bo przecież parę lat ledwo dojrzewające

go życia nie wystarczyło na gruntowne rozeznanie się w samym materiale zagadnienia, ani na praktyczne sprawdzenie oporów, które by mu pozwoliły na wyciągnięcie wniosków konkretnych, wyznaczających dalszą postawę. Młodego rewolucjonistę traktujemy tu jako osobowość społeczno-kulturalną, a więc podchwytujemy w nim te cechy, które jakby wówczas „wisiały w powietrzu”, były własnością jego rówieśników.

Czynne zachowanie się Dembowskiego jak mówi Płomiński, wyznaczał kult ojczyzny, kult narodu, rozszerzony o pojęcie sprawiedliwości społecznej dla wszystkich jego członków. Dembowski nie potrafił jednak ocenić historycznie grup społecznych tego narodu. Wyczuwał on głęboko wkorzone dyspozycje szlachty — dlatego wyrzekł się swej warstwy; do chłopów jednak nie podszedł tak, jakby tego moment historyczny wymagał, gdyż miał on fałszywą koncepcję ludu. Była to koncepcja właśnie „ludu serdecznego” stworzona przez romantyzm a poprzedzona chociażby sielankowo-stylizowanym „Wiesławem” Brodzińskiego. Do tak pojętego ludu pragnie się Dembowski odwołać. Zapomina on o fakcie, że w oczach chłopów jest on kimś, który wyszedł z dworu, nie przełamał więc niechęci zakorzenionej w ludzie od wieków; Przeważa fakt, że chłopom przez najszlachetniejsze jednostki narodu (Kościuszko) były rzucaane obietnice bez możliwości ich dotrzymania, stąd formująca się w nich nieufność nawet i do ludzi „dobrej woli”. Dembowskemu wydaje się, że kluczem szlachetnego słowa utworzy duszę ludu. Warstwa chłopstwa żyjąca w prymitywnych warunkach, pozbawiona wszelkiej opieki ze strony państwa szlacheckiego, wyjęta spod prawa instytucyjnego, nie mogła stworzyć dotąd własnej inteligencji a przynajmniej w takiej ilości, by mogła jej powierzyć kierowanie swoim losem. Brak elementu pośredniczącego między chłopem pańszczyźnianym a postępową inteligencją, rekrutującą się z warstwy szlacheckiej i mieszczańskiej doprowadził do tragedii, którą w 1846 roku przeżył Dembowski.

Ktoś tu chyba ponosi winę?

Ktoś tego chłopca z pańszczyźnianej wioski ciągle odcinał od wpływów zewnętrznych. Próby zbliżenia się do tej warstwy, podejmowane przez ludzi pokroju Dembowskiego były udaremniające od dawna.

Arystokracja ziemiańska zgodziłaby się na wykorzystanie ludu do walki, ale tak tylko, jak dawne rycerstwo wykorzystywało swoich poddanych, ta sama arystokracja protestowała uparcie przeciwko świadomemu wciąganiu ludu w walkę, obawiając się, że trzeba by za to dużo zapłacić.

Z tej więc strony Dembowski natrafił na opór zdecydowany. Z naiwnością szlachetnego idealisty przypuszczał, że argumenty skierowane w imieniu Ojczyzny i narodu przekonają warstwę szlachecką, przypuszczał, że ta ostatnia da mu wolną rękę, pozwoli wejść w lud i mobilizować go do walki o nową Polskę.

Jako jednostką mającą działać praktycznie Dembowski miał niestety za mało doświadczenia, by obiektywnie ocenić ówczesny układ sił społecznych. Ujmował on sytuację w kraju teoretycznie bez możliwości odwołania się do materiału sprawdzalnego. Był on właściwie romantycznym indywidualistą, za mało wczuwał się w środowisko, w którym miał praktycznie działać. Jego stosunek do własnej warstwy jest negatywny, przestaje ona dla niego istnieć jako cenny element narodu; odwraca się od niej, zapominając na nieśczęście, że klasa ta ma dostatecznie dużo siły na to, by „odszczepić” zlikwidować, by cały jego napęd radykalny ujmieć i wymanewrować, młodego zaś rewolucjonistę tak izolować, by działał po prostu jakby w próżni społecznej.

ŚRODOWISKO SZELI

J. E. Płomiński jest skłonny Szela ujmować w kategoriach psychologicznych. Przychyla on się do stanowiska, zajmo-

wanego przez wcześniejszych badaczy. Cytując bez komentarza Ludwika Dębickiego zgadza się widocznie z takim spojrzeniem na tę postać, które wnosi pamiętnikarz tamtego okresu. Dębicki mówi: „Zdaniem niektórych historyków jest w tej stronie od Tarnowa ku Jasu i Kroszu pewna odmiana etnograficzna ludności, a Szulski nazywa ten szczepek ludu „głuchoniemymi”. Jeśli tak jest jak dowodzą niektórzy etnografowie, to w typie takim, jakim był Szela, nie było nic z natury chłopca mazurskiego i słońskiego, ale jakiś pierwotny obcy, dziwny, ponury i wrogi”¹⁾.

Wydawałoby się, że chłopcy z innych terenów Polski to element zadowolony, łagodny, biernie godzący się ze swoim losem, że tylko tu właśnie w wymienionych wyżej okolicach chłopcy są inni, no a ta inność tłumaczy się tylko tym, że przedstawiają oni jakąś odmianę ludności, nie wiadomo skąd tu zaszczerpioną. Tymczasem pierwsza połowa XIX wieku to okres wzrastającego oporu ze strony całej warstwy chłopskiej. Do warstwy tej docierają w zniekształconej postaci poglądy głoszące hasło równości społecznej. Docierają one w strzępkach; raz głosi je żołnierz napoleoński, raz radykalny ksiądz pochodzenia chłopskiego, bądź jakiś reemigrant chłopski, czy wreszcie chyłkiem przemycający się przez wioskę emisariusz Towarzystwa Demokratycznego. Chłopi odczuwający dotychczas instynktem swoją krzywdę, zaczynają sobie uświadamiać, że to nie jest krzywda jednostkowa, dotyka ich ona jako klasy. Poczucie uposzczenia zaczyna być dla nich coraz dotkliwsze. Pogłębia je jeszcze praktyka „rugów”, która się przyjęła w pierwszych dziesiątkach lat XIX wieku. Rozrastające się folwarki szlacheckie pochłaniały chłopską pańszczyźnianą ziemię. Chłop z „przypisanca” mógł stać się wolny, ale tracił przy tym, wyrugowany z ziemi, ostatnią szansę do życia. Teren Galicji szczególnie był uposzczonej. Mielliśmy tu liczną warstwę proletariatu rolnego. Byli to tak zwani „komornicy”. Cała ich własność to tylko splechetek ziemi, dzierzawiony często od dworu „za odrobek”. Ich stopa życiowa była poniżej wszelkiej ludzkiej normy. Przysłowowa jest z tego okresu nazwa: „mędra galicyjska”. Całe rzesze tych „komorników”, elementu nie rzadko wędrownego, musiały komuś zaofiarować swą pracę — tą jedyną możliwością był dla nich dwór. Żyli w jego orbicie gospodarczej. Komornicy ci, często nawet nie związani z dworem nadziałami pańszczyźnianymi, pozostawali od niego w silnej zależności. Sam fakt, że pozwalano im na postawienie budy mieszkalnej w zasięgu ziem dworskich, zmuszał ich do dwunastu dni pieszej pańszczyzny w roku. Prócz tego każdy kęs otrzymanego chleba musiał być drogą opłacony własną pracą najemną. Jasne, że praca ta w wypadku kolosalnej ilości rąk do zaofiarowania była opłacana tak, jak się pracodawcy spodobało. Wśród tych przede wszystkim ludzi narastało poczucie wielkiej krzywdy; stworzyli oni liczną warstwę społecznie wydziedziczonych, warstwę bez żadnych perspektyw na poprawę swego bytu.

Czyż trzeba było być aż „specjalnym szczepek”, żeby w tych warunkach stać się „ludem dziwnym, ponurym i wrogiem”. Ci właśnie chłopcy galicyjscy stanowili w pierwszym rzędzie element niezadowolony ze stosunków społecznych. Za taki układ winili oni odruchem, instynktem warstwę przodującą, a więc szlachtę. W tej grupie społecznej nurtowało wieczne niezadowolenie, żarzył się ciągle podskórny bunt tajonej nienawiści przeciwko tym, którzy stosunki te pragnęli utrzymać w niezmięnionej postaci. Szela wyrasta wśród tego środowiska. Dla niego walka o polepszenie doł swoich współziomków to przede wszystkim walka z dworem. Dysproporcja między tym dworem a wsią jest za duża, by mogła nie wzbudzić zawiści i poczucia krzywdy klasowej. Arystokracja ziemiańska nic nie chce ustąpić

¹⁾ Cytuję za Płomińskim: Ludwik Dębicki: „Z dawnych wspomnień rok 1846 — 1848”. Sp. wyd. w Krakowie. 1903 str. 57.

ze swego stanu posiadania, wychodząc widocznie z założenia, że nędza podzielną jest od dostatku. Za tą arystokracją stoi państwo austriackie, jako gwarant ustroju.

Szela myśli prymitywnie, wrogię jest dla niego to, co da się ująć konkretnie, namacalnie, a więc dwory sąsiednie, dwory, po których Dembowski organizuje spisek, apelując bezskutecznie do serc szlacheckich, by ulżyły chłopskiej doli.

Środowisko wiejskie formuje osobowość Szeli. Występuje on przez wiele lat jako pełnomocnik gromady wiejskiej w sporze z dworem. Nie obca więc mu jest działalność w ramach prawniczych, Szela próbuje bezskutecznie rozwiązać sporne kwestie między dziedzicem ze Smarzowej, a chłopami swej wioski. Tarnowscy chłopie nie od razu chwytają za siekiere, tarnowscy chłopie jak i chłopie innych okręgów Polski podejmują mozolne wysiłki, by na drodze „polubownej” ułożyć jakieś lepsze, mniej ich krzywdzące stosunki między właścicielami folwarków a sobą. Przypominamy sobie pamiętniki Deczyńskiego — ta sama sprawa i o podobnym finale. Chłopi nie widzieli ani na jotę dobrej woli ni u pana Bogusza, ani u właściciela wioski, gdzie chłopskich interesów próbował bronić Deczyński. I syn Szeli i młody Deczyński zostaje z woli panów — dzieciów oddani w „rekruty”. Akt prywatnej zemsty i wyzbycie się ze swego otoczenia elementów „fermentu”. Wniosek dla pańszczyźnianego chłopca: prawnie w ramach „pańskiego” ustroju nie potrafimy zrobić — w sercach ich potęguje się nienawiść do dworu, a rozgorczenie do tych, którzy „mamia” ich perspektywę lepszego jutra z woli tych „dobrych panów”.

Szela nie stałby się jednak wodzem chłopskiej rewolucji, nie zorganizowałby band „pańszczyźniaków” i „komorników”, gdyby nie było w nim mocnego przekonania, że występuje w słusznej sprawie. To przekonanie kształtowało się w nim w sposób naturalny, zostało jednak umocnione jeszcze wpływami zewnętrznymi. Jakież to mogły być wpływy? Tu od razu pod pióro nasuwa się nam nazwisko księdza Ściegiennego — żarliwego apostoła walki chłopskiej, walki o nowy porządek świata, pomyślanej i podjętej w imię zasad ewangelicznej sprawiedliwości. Hasło księdza Lamennais: „papież i lud” znajduje wyraz w „złotej księżeczce” — w imię religii należy podjąć walkę o sprawiedliwość dla chłopów, należy ukarać ludzi, którzy bronią porządku, utrwalającego wyzysk jednej grupy przez drugą. Czy „złota księżeczka” wpadła w ręce Szeli — nie wiadomo, jednak można przypuszczać, że sądy w niej głoszone trafiły jakimś drogami do jego świadomości, poglądy te jego świadomość tak zorganizowała, że stał on się fanatycznym przywódcą, o którym Dębicki mówi: „Nie był to — ich zdaniem (tych co go znali) — pospolity zbrodniarz, nie działał, jak inni w stanie opitym, z wściekłością dzikiego zwierza. Trzeźwy i spokojny miał na ustach słowa Piśma Świętego; gdy mordował i pastwił się

nad ofiarami, wtedy jeszcze występował jako moralista i mściciel. Zdawał się być mistykiem i sekciarzem w siermiędze”²⁾.

CZY WINA SZELI, WOBEC NARODU?

Niektórzy historycy określają Szelę jako narzędzie biurokracji austriackiej. Wygląda w ich relacji, że Szela to tylko najemny zbrodniarz, użyty do zniszczenia ruchu wolnościowego. Nieszczeniście dla Szeli wybrał on złego sprzymierzeńca, musiał w końcowej sytuacji być wyprowadzonym w pole, ale Szela nie miał jednak wyboru. Bunt chłopski nosił on w sercu od lat, a może zgodniej z prawdą historyczną byłoby powiedzieć: od wieków; szukał, czekał, czyhał wprost na moment, w którym ten bunt mógłby się krwawo zamianifestować. Państwo austriackie, gwarant ustroju, który tak krzywdził tysiące Szelów, na chwilę przestaje być żandarmem starego porządku, przynymka oczy, daje Szeli wolną rękę, załatwiającą tą drogą własny interes. Polityka austriacka pozwala na likwidowanie polskiej szlachty w Galicji, wychodząc z założenia, że oplaćca się zniszczyć nawet dziewięciu „sprawiedliwych”, gdy wśród nich, padnie dzieśiąty, ten właśnie spod znaku Dembowskich, którzy marzyli o tym, by „mieć wolności, jakiej świat dotąd nie oglądał”. Dlaczego Szela i Dembowski nie stali się sprzymierzeńcami? Dlaczego to losalne napięcie w chłopstwie tarnowskim nie zostało właściwie wykorzystane? „Trafił do Szeli Breinl (jak mówi Werfel), a nie trafił Dembowski, nie trafił, bo mu drogę do chałupy chłopskiej zagrodzono. Konserwatywna szlachta bała się rozbudzenia ludu, bała się, że wówczas ów lud sam upomni się o swoje prawa; tak więc chłopie izolowani od inteligencji postępowej działali na ślepo, jednak nie z tych pobudek, że starosta tarnowski wyznaczył im „krwawe premie” za głowy powstańców. Chłopi wówczas szli nie na powstańców, szli na dwory, które były dla nich widomym znakiem systemu, w którym się od wieków dusili. Gdy państwo austriackie osiąga zamierzone cele, gdy powstanie krakowskie zostaje zgniecione, cofa ono swój żelazny glejt, wydany chłopom. Tu następuje dopiero moment, w którym widać, że tzw. „rzeź galicyjska” to jednak rewolucja społeczna. Chłopi mimo nakazu władz nie uступują tak prędko z pola walki, dochodzi do licznych krwawych starć z wojskiem austriackim. Postawa „band” chłopskich w tym momencie rabarji dowodnie wykazuje, że walka ich nie odbywała się tylko z „dopuszczenia” i za „srebrniki” austriackie, ale była walką o nowy ustrój, o lepszy porządek świata. Zniesienie pańszczyzny, rozdanie dworskiej ziemi między rzesze przymierających w nędzy „komorników” to program polityczny zbuntowanego. W oczach warstwy poszkodowanej program ten musiał być zbrodnią, ale dla narodu w jego perspektywie historycznej czy nie byłby wkładem pozytywnym?

Chłopi mieli słuszną prawo do buntu, a forma? Cóż! Forma prymitywna, jak prymitywnym było ich życie. Posłużyli się oni tylko tymi narzędziami i takimi metodami, które były dostępne ich świadomości. Czy „rabacja chłopka” w 1846 roku była winą wobec narodu? Pomijamy moment i formę buntu, czy jednak sama jego istota była czymś szkodliwym w rozwoju historycznym narodu. Cóż świadczy lepiej o godności ludzkiej? Czy godzenie się wewnętrzne człowieka na zepchnięcie go w sytuację, w której musi stać się podobnym bydłciu, czy krwawy nawet protest przeciwko traktowaniu, które go do tej sytuacji doprowadza.

Bezwzględnie trzeba by na „debet” narodu zapisać, gdyby grupa społeczna stanowiąca przytłaczającą większość tego narodu godziła się biernie na zostawienie jej w takich warunkach ekonomicznych i kulturalnych, które nigdy nie pozwoliłyby jej stać się warstwą, w narod swój wnoszącą wartości społeczne, gospodarcze i kulturalne, mające dla Ojczyzny cenę. Anglia z XVII wieku, Francja z XVIII ociekały krwią rewolucyjną. Myśmy się zawsze szczyli tym, że u nas nie padały koronowane głowy. Może i z tych względów zostaliśmy daleko w tyle za drugimi narodami.

Leonard Sobierajski

²⁾ Tamże, str. 87.

Stefan Lichański

U POETÓW

Janina Wójcicka: *Czynom i prochom*, str. 39+5 nl. — *Z dna ciemności*, str. 85+3 nl.; Wydawnictwo Eugeniusza Kutana, Warszawa, 1946.

Gdzie znajduje się granica oddzielająca utwory, których drukowanie można uznać za celowe, od tych, które na zawsze powinny pozostać w rękopisie? Nie ma chyba krytyka, który nie zadawałby sobie tego pytania. Raz po raz bowiem trafiają bowiem do rąk recenzenta książki napisane niby zupełnie poprawnie, niby czyniące zadość wszystkim najbardziej zasadniczym wymaganiom jakie spełniać powinno dzieło sztuki, ale jednak nie wzbudzające owego charakterystycznego wzruszenia estetycznego, które wywołują czasem nawet utwory skonstruowane bardzo nieudolnie, pełne błędów, jaskrawizn i niedociągnięć. Gdzie jest ta granica, po przejściu której wkraczamy do krainy poezji? Czy wykreśla ją jedynie stopień wrażliwości estetycznej odbiorcy, czy też jest ona wpisana w jakichś cechy specyficzne samego utworu?

Sądzę, że idąc po linii pierwszego z podanych powyżej sformułowań moglibyśmy dojść do przyjęcia za najwyższą mądrość estetyczną zasady, że „nie to ładne, co ładne, ale to ładne, co się komu podoba”. Ta formuła najwęższego nihilizmu estetycznego, przekreślająca samą możliwość znalezienia jakichś ponadprywatnych probrzyży wartości artystycznych dzieła sztuki, uniemożliwiałaby, gdyby ją potraktować serio, wszelkie próby zbudowania estetycznej krytyki wartościującej. Estetyka, nauka o literaturze i inne pokrewne dyscypliny mogłyby istnieć w takim wypadku jedynie jako podrzędne działy psychologii czy socjologii, gdyż tylko te nauki mogą tak pojętą kwestię „podobania się” czy „niepodobania” dzieła sztuki sprowadzić do jakichś jasno sprecyzowanych formuł, określić naukowo.

Pozostając przy samym utworze możemy natomiast orzec, że „napewno nie wywoła on wrażenia estetycznego, jeżeli będzie albo złożony z elementów treściowych czy formalnych o ładunku emocjonalnym zupełnie obojętnym dla odbiorcy lub też gdy sam układ tych elementów (kompozycja utworu) będzie absolutnie obcy dożwiadzeniu estetycznemu odbiorcy (niezrozumiałość), albo elementy zawartości i kształtu (treści i formy) będą powiązane nieodpowiednio, rozmieszczane bezładnie, a całość będzie chaosem motywów na ogół znanych ale poklebanzonych bez ładu i składu (grafomania najwęższa) albo wreszcie gdy osiągnięta zostanie w kształtowaniu utworu ta potoczna „doskonałość” stylu estetycznego już zupełnie gotowego i skończonego, pozbawiona zupełnie świeżości i inowacji (banalność).

Pomijając ową grafomanie naiwną, bardzo często będącą po prostu czynnikiem braku wykształcenia mamy tu często do czynienia i z poważnym wysiłkiem intelektualnym i z głębokim przeżyciem duchowym. Okazuje się, że i jedno i drugie nie wystarcza. Autorowie nie osiągają w tym wypadku sukcesu artystycznego z powodu jakiegoś zasadniczego ubóstwa wyobraźni, niezdolnej do rzeczywistej wynalazczości, a skłaniającej się albo do ekstrawagancji albo do powtarzania banału.

Wiersze Janiny Wójcickiej są niewątpliwie „szczerze” i pisane jako „spowiedź duszy”, ale nie wychodzą poza irytującą poprawność formalną, poza reprodukowanie wzorków powstałych w schyłkowym okresie „Młodej Polski”. Zbiorek „Czynom i prochom” zawiera szereg wątków tematycznych z okresu walki Polski Podziemnej z okupantem, wątków, które mogłyby być z powodzeniem wykorzystane w jakichś prozaicznych opowiadaniach czy impresjach, a które

zatracają się zupełnie w poetyckim banałach gładkich i potocznych wierszy. Jeszcze wątpliwiej przedstawia się zbiorek „Z dna ciemności” zawierający utwory refleksyjne tego rodzaju jak np. króciutki wiersz „Trądem wojny”:

Księżyce upiornym światłem pisze
Gehennę doznań, gorycz lat.
Na wsi i miast zastępych zgłiszczach,
Bezobowym zalem trwa.
Może następne pokolenia
Będą umiały znova żyć...
Serca przeżarte trądem wojny
Straciły sens, nie wierzą w nic.

Księżyce „trwający bezobowym zalem” i serca, które „straciły sens” — idealny wprost wzorek myślowego i artystycznego banału. Oba zbiorki wydano bardzo starannie — ale czy potrzebnie?

✱

Tadeusz Jęczalik: *Arkusze poetycki*, Wydawnictwo Zespołu „Inaczej”, skład główny: „Świt”, Kraków.

Niewiadomo dlaczego Zespół „Inaczej” wydał arkusz poetycki Jęczalika. Nie ma bowiem w tym arkuszu ani jednego wiersza, który nie byłby nieudolną, często w mimowolną parodię przechodzącą, kopią utworów Przybosa. Nie ma w tych wierszach ani śladu poetyckiej inwencji. Jest to jałowa i niepotrzebna pisanina, jakiej w chroniczną przypadłość przechodzące przedłużenie typowej dla okresu dojrzewania „ospy poetyckiej”. Wystarczające pojęcie o tej pretensjonalnej grafomanii daje taka choćby strota:

Przyciemniwszy drzewa,
pod muchomorem nocy
zamyślony
twe oczy na trawie piszę.

Jeżeli dalsze arkusze poetyckie Zespołu „Inaczej” mają przynosić takie same żalonne elaboraty jak arkusz Jęczalika, można śmiało zrezygnować z ich wydawania i przetranszować na nie papier spożytkować w jakiś sensowniejszy sposób.

✱

Lucjan Szenwald: *Utwory poetyckie*, „Książka”, 1946, str. 247+5 nl.

Dobrze stało się, że ukazał się pośmiertny tom wierszy przedwcześnie zmarłego podczas wojny poety Lucjana Szenwolda. Może wydawcy zainteresują się teraz także spuścizną innych pisarzy, których utraciliśmy podczas wojny, a którzy zajmują w naszej literaturze pozycje naprawdę poważne (jak np. Józef Czechowicz, Władysław Sebyla, Józef Stachowski, Karol Irzykowski, Ludwik Fryde, Juliusz Kaden — Bandrowski, Bolesław Miciński, Ignacy Fik, Stanisław Ignacy Witkiewicz, Bruno Schulz i tyłu innych).

Tom Szenwolda zredagowany został zdaje się zbyt pośpiesznie i nie objął całej spuścizny poetyckiej tego autora. Wiersze Szenwolda poprzedzone zostały aż trzema przedmowami o charakterze lirycznych panegiryków, podczas gdy nie zaopatrzone książki we wstęp o charakterze naukowym, określający rzeczowo i bezstronnie znaczenie tej poezji. Poważnym również brakiem jest niezestawienie bibliografii prac o autorze. Ponieważ dotąd nie istnieje żadna większa monografia poświęcona Szenwaldowi konieczne jest skatalogowanie najdrobniejszych przyczynków mających znaczenie dla badaczy twórczości i życia poety.

Stanisław Chruściński

O R K A

Mówisz mi ojcze — że szkoda, że świat przede mną otwarty —
Ze to za chałpą, za sadem i za tą wierzwą nad rzeką — —
Ze przecież studia i fach mój — i żebym nie był uparty;
I że to przecież tak blisko — to przecież tak niedaleko...

Ze tu nie po mnie, że po co — że ziemia licha, że marna —
Ze sad tu nie rodzi, że usechl — szkoda — bo i ja tu uschnę —
I że do gęby nie prawie — dola — niedola — że czarna —
Ze wiatr posięje — zaorzę — że zbiorę cichość i pustkę...

No i głodne dzieciśka — i siostra i matka — a we wsi
Rozpacz — mitrega i męka — smutno i żadnej nadziei —
Jak we wsi — wstaje się rano — we dnie ni w nocy się nie śpi,
Jutro zaś tak jak wczoraj — jednako przecież wiatr wieje...

Prawda — sam widzę — nie ślepym — wierz mi że jestem w rozterce:
Tam piękne życie — dalekie — tu swojska nędza — tak blisko —
Ano co robić — już późno. Nie rozum radzi a serce:
Orzemy ojciec! — do kraja! — poganiaj ojciec koniska!...

POPULARNA BIBLIOTEKAZKA
TYGODNIKA „WIEŚ”

TOM I

JÓZEF POGAN

DEKRET NIEBIESKI
BIEDNY i BOGATY

OPOWIADANIA

CENA 20 ZŁ.

WYDAWNICTWO ZWIĄZKU
SAMOPOMOCY CHŁOPSKIEJ
ŁÓDŹ — 1946

FAKTY i ZDANIA

4-ty i 5-ty NUMER „LISTÓW Z TEATRU”

To pożyteczne pismo, redagowane przez wybitnego teatrologa Wojciecha Natansona, rozwijające się ciągle, ustaliło swoją formę jako dwumiesięcznik, wydawany w okazałej objętości. Wśród pism teatralnych „Listy z Teatru” zajmują wciąż pozycję niezastąpioną, a to dzięki specyficznemu układowi treści. Poradnie wydawałoby się, że zasięg podobnego wydawnictwa nie może być znaczny, jest ono bowiem pojęte jako komentarz do przedstawień przygotowanych przez teatry krakowskie, gdy więc Teatr im. Słowackiego gra „Fantazego”, „Listy z Teatru” dają cykl artykułów, oświetlających tę sztukę od strony literackiej i reżyserskiej, ujętych w sposób przystępny, by mogły służyć objaśnieniem dla szeroko pojętej widowni; następny numer zajmuje się „Zeglarzem” Szonlowskiego, itd. Ale mimo tego założenia, „Listy z Teatru” bynajmniej nie są pismem o ciasnym zasięgu. Nie tylko dlatego, że Kraków jest jednym z centrów teatralnych współczesnej Polski i działalność tego ośrodka ciekawa jest nawet dla pracowników kultury, przebywających na głuchej prowincji. Nie tylko dlatego, że utwory wystawiane przez Teatry krakowskie to wybitne dzieła literatury i „Listy z Teatru” dają do nich komentarze celowo zebrane, które mogą być wykorzystane następnie przy inscenizacji tych utworów w innych środowiskach teatralnych. Ale pismo, ma jeszcze szersze ambicje: zaprasza ono do współpracy nie zespół zamknięty, nawet nie specjalistów-teatrologów, a pisarzy, literatów, działaczy; dotychczas lista autorów obejmuje 60 nazwisk, są to specjaliści ze wszystkich dziedzin, wypowiadający się tutaj w krótkich, specjalnie do tonu popularnego pisma teatralnego przystosowanych artykułach. Poza komentarzem krakowskich wydarzeń teatralnych, każdy numer przynosi artykuły zasadniczo w Nr 5-ym znajdujemy dwie prace na temat teatru współczesnego w szerokim ujęciu: temat: Srebrnego „Zagadnienie aktualności w teatrze” i T. Kudlińskiego „Artystyczny teatr francuski”, podobnie numer 4 przynosi artykuł J. Kosińskiego „Nowa dekoracja teatralna” i dyskusję J. Korpały na temat teatru ludowego, w związku z pracą J. Króla we „Wsi”. Są to zagadnienia (z wyjątkiem ostatniego) dotychczas nie poruszone przez naszą publicystykę teatralną, podane tutaj w formie najprzystępniejszej, podstawowej. Prof. Srebrny zastanawia się nad problemem, czy wymóg aktualności nie stoi w sprzeczności z arylem teatru, przytacza ciekawe przykłady współczesnego teatru zagadnień aktualnych np. Piscatora. Również cenny jest artykuł Kosińskiego, który na dwóch stronkach daje skrót historii plastyki scenicznej w ostatnich kilkudziesięciu latach, skrót objaśniający sytuację ideologiczną scenografii współczesnej, na tle konieczności wynikających z jej ostatnich osiągnięć. Jest to pierwsza tego typu syntetyczna praca, stawiająca dekoratora współczesnego wobec nowych wymagań, konfrontująca je z tradycjami jakiegoś okresu, tak przecież świetnego. Bardziej w pełni jest artykuł Kudlińskiego, „Artystyczny teatr francuski”, upraszczający złożone zjawiska na zbyt wąskiej przestrzeni, dający szeregi nazwisk bez dostatecznego komentarza. Ideologia autora nie jest wyraźna; może będzie bardziej widoczna w dokończonym artykule (tu mamy część 1-szą). Zastrzeżenia musi budzić artykuł Horzyca „Sens moralny Orfeusza” (idzie tu o nowy dramat poetycki Świrszczyńskiej, wystawiony przez teatr w Toruniu); zamiast opisać zamiary inscenizatora, czy formę artystyczną w jakiej wypowiedział się dramaturg, autor mówi ogólniki o patosie śmierci („Śmierć jest to coś bardzo konkretnego. Każdy choćby ementarz świądzący o tym”), co wbrew zamierzeniu wywołuje raczej wesołość. Wreszcie jednym z najistotniejszych osiągnięć redakcyjnych „Listów” jest „Kronika zagraniczna”, tych informacji łakniemy najwięcej, i otrzymujemy je tu metodycznie ułożone.

Na tle dotychczasowej naszej publicystyki teatralnej „Listy” stanowią osiągnięcie ważne i powinny być brane do ręki przez działaczy teatrów ludowych. Wydawany przez Ministerstwo K. i S. miesięcznik „Teatr” ma ambicje zasadnicze, ale ich nie spełnia, nie ujawniając jednolitego programu już nie tylko artystycznego, ale nawet organizacyjnego; kronika tam prowadzona jest bylejak, układ chaotyczny, artykuły ogólnikowe. Dotychczas „Teatr” nie opublikował dokumentów o tak wielkiej ważności, jak stenogramy obrad Rady Teatralnej, mimo że jako organ ministerialny jest do tego zobowiązany. „Listy z Teatru”, wyznaczając sobie zakres mniejszy i konkretniejszy, dają w rezultacie więcej, pozostając wciąż bez konkurencji, gdyż wydawana przez łódzkie teatry „Łódź Teatralna” ogranicza się do komentowania zdarzeń miejscowych. W dzisiejszym położeniu polskiej sztuki teatralnej, gdzie siły są niefortunnie rozproszkowane na aż 38 scen prowincjonalnych (tak!), co się fatalnie odbija na ich poziomie, i uniemożliwia wychowanie młodego pokolenia artystów sceny, które powinno dojrzewać w cieniu znakomitego teatru centralnego, rozsądni działacze ludowi powinni domagać się raczej centralizacji, a nie chaotycznego „umasowienia”, kończącego się wreszcie rozsypką artystycz-

na. Nasze młode pokolenie działaczy teatru ludowego winno dojrzewać w warunkach najdoskonalszych; dlatego pismo takie jak „Listy z Teatru” powinno zwracać naszą baczną uwagę, jakkolwiek pozornie zdawałoby się mogło, że jest oddalone od naszych problemów.

KURS ORGANIZATORÓW I REŻYSERÓW TEATRÓW OCHOTNICZYCH

Centralny Instytut Kultury został powołany do życia, jako naczelna instytucja państwowa do spraw upowszechnienia kultury i sztuki wśród najszerszych mas. Prace jego idą w trzech kierunkach:

- Analiza potrzeb społecznych w dziedzinie kultury i opracowywanie metod ich zaspokojenia,
- Koordynacja wysiłków organizacji i instytucji społecznych działających na tym terenie.
- Szkolenie instruktorów do prac kulturalno-artystycznych.

W ramach swoich zadań zorganizował Centralny Instytut Kultury 2-miesięczny kurs instruktorów i reżyserów teatrów ochotniczych we Wrocławiu.

Kurs liczył około 50 uczestników wydelegowanych przez różne organizacje społeczne (OKZZ, Wici, ZWM, OM TUR, Tow. Przyjaźni Polsko - Radzieckiej i inne) i miał na celu 1-o. — dostarczenie Dolnemu Śląskowi zastępu organizatorów teatrów ochotniczych, 2-o dostarczenie Centralnemu Instytutowi Kultury materiału doświadczonego, w zakresie metod ochotniczej pracy artystycznej.

Organizatorzy kursu zdawali sobie doskonale sprawę z faktu, że dwumiesięczny kurs nie może ludziom mającym dotąd słaby tylko kontakt z tą pracą, dać dostatecznego wykształcenia fachowego. To też nie taki był jego cel.

W toku szeroko rozplanowanego kursu zaznajomili się słuchacze z podstawowymi zagadnieniami teatru ochotniczego. Przeprowadzili kilkadziesiąt inscenizacji o różnych formach, począwszy od groteski, po przez pieśń ludową i wiersz patetyczny do misterium i dramatu, zapoznali się z teatrem dziecka i teatrem kukielkowym, scenografią i kostiumologią.

Z natury rzeczy, mogli kursanci zapoznać się tylko w bardzo górnym zarysach z wykładanym materiałem teoretycznym. Największym osiągnięciem kursu miało być wywołanie w jego uczestnikach pędu do pogłębiania zdobytych wiadomości, do dalszego kształcenia się, a nadę wszystko pobudzenia w nich zamiłowań artystycznych na wysokim estetycznie poziomie.

Przeprowadzony w dniu 29.9. 1946 r. egzamin praktyczny, wykazał, że uczestnicy kursu zdolni są zarówno do pracy w swoich zespołach, jak i do dalszego podnoszenia swych kwalifikacji.

W dniu 30. 9. 1946 r., w sali Teatru Miejskiego we Wrocławiu odbyto pokaz form scenicznych, wskazujący na to, że w przeciwnieństwie do teatru zawodowego, który chronicznie cierpi na brak repertuaru, teatr ochotniczy, ten pogardzany teatr „amatorski” czerpiąc pełnymi garściami w skarbnicy naszej poezji i prozy, z naszego folkloru muzycznego i tanecznego dawać może widowiska wysokiej klasy.

Niestety olbrzymia większość działających obecnie zespołów ochotniczych nie umiała dotąd znaleźć drogi do tych skarbków i bądź to grzeźnie w repertuarze „sztuczek” bądź też parodjuje teatr zawodowy. Tym większa jest więc waga pionierskiej pracy Centralnego Instytutu Kultury.

Inszenizacja fragmentów „Starej Baśni” gdzie akcja dramatyczna o dużym napięciu łączy się z plastyką sceniczną wysokiej miary, osnutą na pradawnych motywach słowiańskiego folkloru, była w swoim rodzaju sukcesem artystycznym.

Ważnym zadaniem kursu było również działanie w kierunku zespołowego wychowania jego uczestników. Także i pod tym względem kurs dał dobre wyniki. Ludzie wywodzący się z różnych środowisk społecznych, o różnym poziomie intelektualnym, żyli się tak harmonijnie z sobą, że na pewno wycisnie to i na przyszłej pracy dobroczynne piętno.

W dniu 1. 10. 1946 r., odbyła się konferencja pokursowa z udziałem wszystkich absolwentów, wykładawców i zaproszonych gości, poświęcona omówieniu wyników kursu. W obszernej dyskusji prowadzonej na wysokim poziomie, która wykazała zarówno braki, jak osiągnięcia kursu, zabierali głos prócz absolwentów m. inn. Ob. Ob. Poseł Helena Boguszewska, ks. prof. Dr Śledziwski, historyk sztuki i naczelnik Woj. Wydz. Kultury i Sztuki w Białymstoku, Jan Sztandynger, Dyrektor Chomiński i Wicedyrektorzy: Jabłoński i Henner z Centralnego Instytutu Kultury, Janusz Nowacki kierownik kursu.

Wszyscy obecni zgotowali serdeczną owaację Ob. Irenei Solskiej inicjatorce i opiekunce kursu.

Na zakończenie postanowili absolwenci kursu zorganizować koło przewodników teatru ochotniczego na Dolnym Śląsku, które-

go zadaniem będzie dalsza praca nad pogłębieniem kwalifikacji absolwentów kursu, oraz przyciąganie do współpracy najbardziej wartościowych działaczy terenowych w dziedzinie teatru ochotniczego.

NIE MAM SŁUŻĄCEJ

Jeszcze do czasu ostatniej wojny nie można było sobie wyobrazić mieszczańskiej rodziny w Polsce bez służącej, czyli, bez tzw. pomocnicy domowej. Bogatsi mieli ich nieraz po dwie i trzy, biedniejsi po jednej, a byli także rodziny, których kilka po prostu obsługiwała jedna jedyna pomocnica.

Służące gotowały więc, prały, sprzątały, czyniły zakupy a często zdarzało się, że wychowywały dzieci swoich pryncypałów. W tym ostatnim przypadku, obdarzano je nader chętnie wieloznacznym mianem bony, żeby dzieci nie potrzebowały się później wstydić, iż były wychowywane przez kucharki.

Konieczność służby domowej uzasadniano wszelkimi sposobami: pracą zawodową pani domu, mnogością dzieci (w tym wystarczało dwie), słabym zdrowiem, albo niedoświadczeniem gospodyni, skłonnością do urządzania przyjęć i czym kto chce jeszcze. Jeżeli zaś tak wypadło, że mieszczańska albo nawet drobnomieszczańska rodzina musiała się bez służącej obywać, wówczas traciła właściwość „dobrej rodziny”, „dobrego domu” czyli podpadała w hierarchii jej społecznej, a co za tym idzie, jej towarzyskiego środowiska. Pani domu ze służką była dopiero panią w pełnym tego słowa znaczeniu i mówiło się o niej, że prowadzi gospodarstwo. Skoro zaś służącej nie miała, wtedy odczuwając swe upośledzenie powtarzała, gdy trzeba i nie trzeba, że „nie ma pomocy”.

W większym mieście bez służącej wypadało żyć co najwyżej rodzinie robotniczej, a i to nie zawsze. Między chłopami natomiast instytucja służby domowej uzasadniała się wyłącznie względami gospodarczymi i była całkowicie pozbawiona piętna społecznego snobizmu. Jej wadliwość polegała na związanym z nią wyzysku, gdyż chłop-pracodawca chętniej godził do siebie dziewczynę czy parobka bez jakiegokolwiek pozycji, np. zupełną sierotę, albo osobę umysłowo upośledzoną, byle zdrową fizycznie i silną, niż osobę świadomą swych spraw albo mającą kogoś poza sobą. W każdym razie instytucja służby domowej na wsi nie wpływała ogłupiająco na ewentualnego pracodawcę w tym stopniu co w stosunkach miejskich.

Terenem, z którego miasto rekrutowało służbę domową, była prawie bez wyjątku wieś. Służba męska należała do rzadkości. Istniały gminy, w których wszystkie dziewczęta rozpoczynały karierę życiową od tego, iż udawały się do służby w najbliższym większym mieście i wyzwały się z niej dopiero przez zamążpójście. Widziało się więc nieraz dwunastoletnie dziewczynki, bez umiejętności koniecznych w miejskim gospodarstwie rodzinnym, wyzyskiwane i pomiatane w najokropniejszy sposób, niedożywające i pracujące ponad siły dorosłej i zdrowej kobiety. Widziało się także młode dziewczęta tęskniące za rodzicami i rodziną, z dwoma chłopcami pozostawionymi na wsi, demoralizowane niechęcią ze strony pani domu i jej córek oraz „chęcią” ze strony pana domu i jego synów.

Służba domowa stawała się w tych warunkach jak najgorszą szkołą wychowania społecznego, nie mówiąc już o ogłupiającym wpływie tej instytucji na rozsnobizowane mieszczaństwo.

W tej chwili instytucja ta jest w Polsce na schyłku. Wydarzenie reformy rolnej, rozbudowywanie szkolnictwa zawodowego i popyt na specjalistów, zahamowały większą emigrację z konieczności. Poza tym trudności aprowizacyjne w mieście uniemożliwiają wielu nawet myśl o służącej. I niedługo już nasze stosunki upodobią się pod tym względem do stosunków w krajach najbardziej cywilizowanych i kulturalnych, w których pomocnica domowa jest rzadkim, ale wysoko wykwalifikowanym specjalistą.

Wszystkie jednak te okoliczności sprawiły na razie, że inteligenckie życie rodzinne, stało się małym piekłem. Wzdycha się więc i zazdrości tym, którzy przebywają gdzieś na Ziemiach Odzyskanych i których jeszcze obsługują różne tam Niemki. A stołówki pracownicze rozwiązują zagadnienie tylko w części.

Niewątpliwie życie inteligenckie i mieszczańskiej rodziny, skomplikowało się dziś wobec braku tak licznych do niedawna słu-

żących i wobec zacofania naszych metod utrzymywania i prowadzenia domu rodzinnego. Tak samo niski poziom przemysłu spożywczego nie czyni łatwym żywienia rodziny w mieście.

To są problemy do rozwiązania i na pewno je się rozwiąże. A jak — zobaczymy.

Fal.

KOMUNIKAT TUL-u

Towarzystwo Uniwersytetów Ludowych Rzeczypospolitej Polskiej zwraca się do wszystkich osób oraz bibliotek prywatnych i publicznych o odstąpienie (sprzedaż lub wypożyczenie) następujących książek potrzebnych dla uniwersytetów ludowych:

Wielkie Uniwersytety Ludowe w Polsce — (Biuletyn konferencji oświatowej, poświęconej sprawie uniwersytetów ludowych, Lwów 7, 8, 9, III, 1937) — T-wo „Przewodnik Wielki” W-wa, 1938.

Wielkie Uniwersytety Ludowe w Polsce — (Biuletyn konferencji oświatowej poświęconej sprawie uniwersytetów ludowych, Krzemieniec, 6, 7, 8, X, 1938) T-wo W. U. L. W-wa, 1939.

H.A.H. Hollman (Thum. E. Nowicki): Uniwersytet Ludowy i duchowe podstawy demokracji — W-wa, 1924.

Ign. Solarz: Wielki Uniwersytet Orkanowy — Cel i program — I. O. D. W-wa, 1937.

Z. Mierzwińska: Wpływ wychowawczy internatowego uniwersytetu ludowego — I.O.D. W-wa, 1933.

A. Świętochowski: Historia chłopów polskich w zarysie. — 2. t. Lw. 1922.

Wł. Grabski: Historia wsi w Polsce. W-wa, 1929.

St. Miłkowski: Agraryzm jako forma przebudowy społecznej.

St. Miłkowski: Walka o nową Polskę.

W. Bronikowski: Drogi postępu chłopstwa polskiego.

I innych książek dotyczących uniwersytetów ludowych i kultury wsi. Zgłoszenia prosimy kierować pod adresem: Towarzystwo Uniwersytetów Ludowych R. P. Warszawa, ul. Smulikowskiego 6/8.

Książki nadesłane do Redakcji

WYDAWNICTWA SPÓŁDZIELNI WYDAWNICZEJ „KSIĄŻKA”

Jan Kott — Po prostu; Bydgoszcz — Warszawa 1946, str. 211.

Bolesław Prus — Lalka tom III; 1946, str. 261.

Halina Górka — Chłopcy z ulic miasta; Warszawa — Poznań, str. 62.

WYDAWNICTWA INNE

Jadwika Radlińska — Leśna droga; Wydawnictwo Ludowe, Warszawa 1946, str. 77.

Wł. Jan Grabski — Saga o Jarlu Broniszu, II Śladem Wikinów; nakładem Wielkopolskiej Księgarni Wydawniczej pod zarządem państwowym w Poznaniu, str. 413.

OD ADMINISTRACJI

Administracja tygodnika „Wieś” przypomina o wpłacie zaległej prenumeraty

Nr. Konta P.K.O. Łódź VII-1080

Prenumerata „Usi” wynosi zł 25 miesięcznie, zł 75 kwartalnie i zł 150 półrocznie.

Redaktor naczelny: Jan Aleksander Król.
Komitet redakcyjny: Kalużyński Zygmunt, Morton Józef, Ozga-Michalski Józef, Pięta Stanisław.

Komitet terenowy: Frasiak Józef Andrzej, Nęcza Kubiniec Stanisław.

Adres redakcji i administracji: Łódź, Piotrkowska 96, tel. 100-98.

Redakcja rękopisów nie zwraca.

Wydawca: Zarząd Główny Zw. Samopom. Chłopskiej.

Ceny ogłoszeń: kolumna zł. 60.000, 1/2 kolumny zł. 30.000, 1/4 kolumny zł. 15.000, 1/8 kolumny zł. 8.000, 1/16 kolumny zł. 5.000. Ogłoszenia przyjmuje administracja tyg. „Wieś”, Łódź, Piotrkowska 96. I p., telefon 100-98.

Drukarnia Nr. 4 Sp. Wyd. „Czytelnik” — Łódź ul. Żwirki 2, D-09720